ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY



REDAKCJA i
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 226-83 i 152-05.

№ 8
WARSZAWA
DNIA 23. LUTEGO 1913 R.

SŁAWA.

„Jeżeli wdzięczność wielu dla jednego wyzbędzie się wszelkiego wstydu, wówczas powstaje sława“.

Tak rzekł w „Wiedzy Radosnej“ Nietsche.

Zdanie paradoksalne i głębokie, „...wyzbędzie się wszelkiego wstydu“.., jest tu powiedziane w znaczeniu: „nabierze trywialnej hałaśliwości”. Niektórzy ludzie, ludzie „których jest o wiele za wiele“, że znów użyjemy słów Nietschego, lubią swoją wdzięczność krzyczeć na rogach ulic, popisywać się rozgłośnie imieniem swego dobroczyńcy; są to ludzie pospolici, plebejusze, źle wychowani, nie dostojni — tych znakomity autor „Po za dobrem i złem“ nie znosi. Więc i sławy nie chce im zawdzięczać, bo sława, która w takim szacunku jest u całego świata, nie jest niczem innem, jak stadnym wrzaskiem tłumu. Można być genialnym, a nikomu nieznanym. Człowiek genialny nie znaczy człowiek sławny. Sławny znaczy: pochlebnie wiadomy z imienia ogromnej masie ludzi. Mickiewicz, Słowacki, Krasiński są sławni. Niema inteligentnego polaka, któryby o nich nie wiedział.

Nietsche by rzekł: wdzięcznego polaka. Lecz oto wychodzimy po za paradoks nietscheański o sławie. Popularność trzech wymienionych przed chwilą imion, nie pozostaje w żadnym stosunku do popularności ich dzieł. Więc nie na bezwstydnej wdzięczności wielu dla jednego funduje się sława. Sława jest dziełem reklamy. I jeszcze inaczej! Sława to reklama.

Jeden człowiek, mający do rozporządzenia pióro i katedrę, może uczynić dzisiaj sławnym, męża wczoraj nieznanego. Przez napisanie entuzjastycznego bez granic fejletonu na szpaltach paryskiego „Figaro“, Octave Mirbeau uczynił pewnego dnia sławnym, nikomu niewiadomego dotąd poetę, nazwiskiem Maeterlinck. Sława nie spływa z niebios, jak manna; ludzką ona jest rzeczą, robią ją ludzie

Oczywiście niepodobna utrwalić w czasie imienia, które należy do człowieka pozbawionego odpowiedniej wartości, ale naodwrót, iluż ludzi utalentowanych i nawet genialnych odchodzi bez sławy, nikomu nie będąc znanymi!

Na firmamencie twórczości literackiej między nielicznemi gwiazdami pierwszej wielkości, świecą dwie gwiazdy. Jedna się nazywa Molier, druga Szekspir.

Wydanie kompletu dzieł Szekspira podjęła w nowej edycji firma Gebethnera i Wolffa. Pierwsze kompletne wydanie w polskim, dodajemy świetnym, przekładzie Boy'a (Żeleńskiego Tadeusza), wydanie dzieł Moliera wyszło dzięki firmie nakładowej lwowskiej, B. Połonieckiego.

Któż z ludzi inteligentnych nie słyszał dzisiaj o Molierze, albo o Szekspirze. A przecież był czas, że sława ich była mała, lokalna, później zapomniano ich imiona, później przypomniano je sobie, wreszcie jęto je tak często powtarzać, krzyczeć, aż zwrócono na tych genialnych pisarzy oczy całego świata. Wołali, krzyczeli, nazywali — ludzie wybitni. Nie każdy może się poznać na geniuszu. Ale krzyczano tak długo i tak głośno, że inteligentny tłum uwierzył w genialność oby-

dwuch dramatopisarzy—na słowo. Tłum zawsze wierzy na słowo. Tym razem nie potrzebuje tego żałować.

Rzućmy okiem na drogę sławy Moliera. Wszędzie stawiany prawie narówno z Szekspirem, we Francji jest Molier przedmiotem niemal religijnego kultu. A jednak większość współczesnych widziała w autorze „Grzegorza Dandin" tylko przedsiębiorcę widowiskowego, pracującego na obstalunek układacza baletów i rozrywek. Przyznają mu pewną wartość, niejaką zręczność, ale lekkości jego utworów odmawiają tego uznania, które przyznają szlachetnej powadze tragedji. Przychylność królewska, codzienne powodzenia Moliera, jego zamożność (Molier zarabiał bardzo dużo pieniędzy), wzbudzają zawiść. Ścigają go oszczerstwa.

Nienawiść nie składa broni nawet po jego śmierci. Dopiero w początkach XVIII stulecia Leonor Le Galloissieur de Grimarest probuje rehabilitować wielkiego komedjopisarza. Ta obrona wywołuje gwałtowne odpowiedzi. Biednego Moliera atakują Muratori, Riccobini i mnóstwo napastników mało znanych, albo anonimowych.

Nareszcie następuje w opinji o Molier'ze zwrot stanowczy na jego korzyść, zaczyna się nawet jego apoteoza.

Tedy najpierw publiczność pragnie przeczytać utwory autora tak spornej wartości, a przeczytawszy je, odczytuje powtórnie. Zjawia się mnóstwo wydań dzieł autora „Mizantropa". Molier staje się ulubieńcem tłumów. Oklaskują go w teatrze. Literaci komentują jego komedje w obszernych studjach. Bracia Parfaict oddają mu sprawiedliwość w swojej „Historji teatru", wydanej w r. 1745; Voltaire opowiada jego życie; Akademja Francuska ogłasza w 1769 konkurs na „pochwałę" *(éloge)* Moliera i nagradza za takową Chamfort'a. W r. 1773 odbywają się pyszne przedstawienia jego komedji i uczczenie jego stuletniej rocznicy. W 1777 Houdon rzeźbi dla Akademji jego biust, niestety, dziś zaginiony; ogłaszają wybór fragmentów z jego pism p. t. *„Esprit de Molière"* — w ten sposób ukoronowano go w antologji, przeznaczonej jedynie dla wielkich klasyków. Marmontel stawia go bardzo wysoko w swoich *„Elements de littérature"*. Rewolucja przypomina sobie scenę Biednego z „Don Juana" i satyry pisane do margrabiów, więc wydaje polecenie uroczystego przeniesienia jego popiołów w 1792 r. W końcu zjawia się Caillava, istotny założyciel molieryzmu, tak przepełniony pietyzmem dla znakomitego twórcy Alcesta, że porwawszy w chwili exhumacji zwłok ząb ze szczęki Moliera, nosił odtąd ten ząb oprawiony w pierścieniu, żył tylko dla Moliera, przez Moliera, projektując wprowadzić go do Akademji, układając scenę pośmiertnej recepcji, pisząc mowy, które miałyby być wypowiedziane wówczas, etc. Działo się to na progu XIX stulecia. (Caillava ogłosił swoje słynne studja w 1802 r.). Sława autora „Pocieszynych wykwintniś" dobiega zenitu. Nikt geniuszu Moliera nie podaje w wątpliwość. Goethe wspaniale go broni przeciw Lessingowi i Schlegelowi; Wiktor Hugo unosi się nad nim w przedmowie do „Kromwela".

W blasku jego geniuszu jednakowo entuzjazmują się klasycy i romantycy, Legouvé i Gerard de Nerval, Scribe i Musset, Viennet i Gautier. Po essejach, studjach i rozbiorach dzieła, ciekawość erudytów skierowuje się na człowieka, który to dzieło tworzył.

Mobilizuje się legion poszukiwaczy w tym kierunku, legion nieomal dosłownie. Edward Thierry czyni wykopaliska na gruncie trupy Moliera; Arsenne Houssaye i Gustaw Laroumet dociekają prawdy o jego ognisku domowem; August Vitu bada jego mieszkania; Jules Claretie śledzi jego podróże. Czterech poważnych doktorów Fanconneau, de Parseval, Carcassonne, Cabanes, rozpatrują Moliera lekarza; dwaj adwokaci Perigault i Jules Connet rozpatrują Moliera prawnika; Castel Blaze poświęca otyłe tomy Molierowi muzykowi. W r. 1879 Jerzy Monval powołał do życia pismo perjodyczne p. t. „Molieriste", gdzie drukowano wyłącznie artykuły o Molierze.

Niech te wyliczenia wystarczą. Wykazały one chyba dość jaskrawo, jak żarliwej reklamy, jak rozgałęzionej reklamy i ile czasu reklamy potrzebuje nawet genialny pisarz, aby cały świat cywilizowany o nim się dowiedział i pochylił przed nim głowę.

Takie same koleje przechodziła sława Szekspira.

W. Grubiński.

LISTY Z BAŁKANU.

(Oryginalna korespondencja „Złotego Rogu").

(Dokończenie VII-ej korespondencji).

Belgrad dnia 6 lutego.

Z lat tych dochował się obraz miasta. Opisał go lekarz angielski Edward Brown, wysłany na wschód przez londyńskie Towarzystwo lekarskie. Zachwyca się pięknością położenia, bogactwem całej setki (!) meczetów i minaretów (dochował się z tego do dzisiaj tylko jeden meczet) i korzy się przed nieprzepartą potęgą Turków, którym nikt nigdy jego zdaniem Belgradu nie zdoła odebrać.



Z twierdzy belgradzkiej. *Kula Nebojsza* (wieża nie bojąca się). Ostatni w całości dochowany zabytek z czasów walk na łuki. Później najsroższe więzienie tureckie. W podziemnych kazamatach woda nasiąkająca z Dunaju sięga kostek. W strasznych torturach zginęło tutaj wielu bohaterów serbskich. Na lewo od wieży widać wał kolejowy ze słupem telegraficznym i sylwetką wartującego żołnierza, za wałem: Dunaj. Na prawo od wieży forty. (Specjalne zdjęcie dla „*Złotego Rogu*").

Tymczasem, zaledwie w kilka lat potem, wojska cesarskie zdobywają twierdzę turecką.

Po odsieczy Wiednia i przepędzeniu Turków na Węgry, cesarz Leopold I wysyła elektora bawarskiego pod mury Białegogrodu. Oblężenie trwało długo i było niepomiernie krwawe. Po stronie cesarskiej padł kwiat młodzieży niemieckiej; Eugenjusz Sabaudzki, ranny, zdobywa swoje pierwsze ostrogi rycerskie.

W końcu Belgrad pada i przechodzi pod rządy austrjackie. Na czas, swoją drogą bardzo krótki.

Tak opowiada historja o zdobyciu twierdzy naddunajskiej.

Ale inaczej mówi serbska legenda.

Legenda serbska nie zna ani Leopoldów ani elektorów bawarskich. Legenda serbska zna tylko jeden niezawodny bicz na Turka — zna Sobieskiego!

Jak niegdyś drogą przecudnej naiwności ludu z Hunyadego zrobiła bohatera serbskiego, jak przed latami swego Marka, swego jasnego królewicza, ożeniła z córką macedońskiego Aleksandra Wielkiego, dając swemu ulubieńcowi co miała w pamięci najpiękniejszego i najdumniejszego między niewiastami świata i wieków, tak teraz przypina Sobieskiemu husarskie skrzydła do ramion i każe mu w blaskach gromu przelatywać Europę od krańca do krańca i dopełniać czynów, których pragnieniem ona sama—legenda nieśmiertelna—płonęła.

Sobieski odpędza Turków od Wiednia, Sobieski oswobadza Belgrad, Sobieski daje wolność siostrzyczce Bośni, Sobieski pławi swoje konie w Dunaju i Wiśle i spogląda na światy z orlich szczytów Alp, Karpat i Bałkanu.

Takim jest *car Sobeski, car welikiej kralewiny polskiej* w pieśniach, które śpiewa lud i takim jest w popularnych romansach, które pochłaniają żarliwie niższe warstwy mieszczańskie.

Widziałem te książki — pożółkłe, zatłuszczone, na strzępy zczytane foljały, które szewc podaje krawcowi, a krawiec szewcowi, by nacieszyć sąsiada *diwnemi* rzeczami, których dokonało bohaterstwo polskiego króla.

I słyszałem też te pieśni.

Spędziłem dzień *slawy*[10]) u mojego najlepszego gospodarza.

Po wieczerzy, gdy już świecę utopiono w winie [11]), zapalono lampę i powiedziano sobie *dober weczer*, poprosiłem moją *gospodżę* by mi zaśpiewała parę pieśni serbskich.

Gospodża Jula przystała.

---

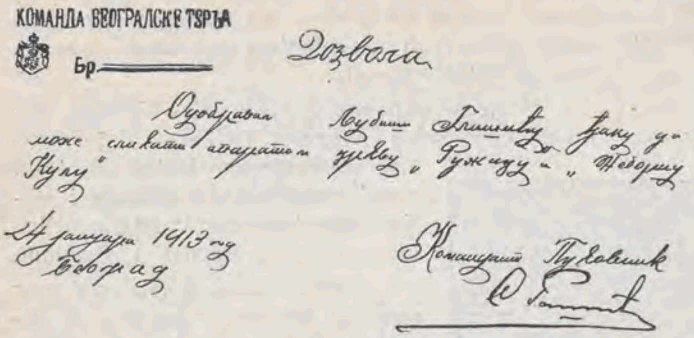
[10]) Serb nie obchodzi dnia imienin. Powiada, że *imen dan to niszto! to nemeczki obyczaj*. Natomiast bardzo uroczyście święci dzień patrona *familji*, który z dziada pradziada niezmiennie w pokolenia przechodzi. Dzień taki nazywa się *slawa*.

[11]) Przez cały dzień pali się świeca poświęcana. A skoro dopali się do miejsca, na którem nalepiony jest obrazek danego świętego, gospodarz domu gasi ją uroczyście, zanurzywszy knotem w szklance wina. Pozostały niedopałek będzie spalony na *Bożicz* (Boże Narodzenie).



Z twierdzy belgradzkiej. *Rużica.* Najstarsza cerkiewka belgradzka w obrębie murów twierdzy na tle bastjonów. Za czasów tureckich obrócona była na prochownię. Legenda powiada, że dwie siostry, Wera i Rużica, wybudowały dwie cerkiewki siostrzane. Cerkiewkę Wery zburzyli turcy. (Spec. zdjęcie dla „*Złotego Rogu*").

I poszły piosenki rzewne i rozlewne jak fale potoczystego Dunaju, spadające czasem w kaskadę skocznego tańca z węgierskiej puszty, czasem w zadumę małoruskiej skargi, albo w żar cygańskich wołań namiętnych — gdy nagle i niespodzianie posłyszałem ukochaną mi pieśń polską: „Serdeczna matko opiekunko ludzi“...



Pozwolenie komendanta twierdzy w Belgradzie, wydane naszemu fotografowi, dla dokonania zdjęć z *Kuli Nebojszy* i *Rużicy*.

Wstrząśnięty, zaciekawiony prosiłem o powtórzenie.

Była to pieśń wzywająca opieki Sobieskiego dla oswobodzenia Bośni z pod jarzma najeźdźczego.

Oto jej słowa:

Car Sobeski tebe wojska zowe
Ustaj care i z grobnice swoje,
Tużan Syrbin na grobe ti klecze,
Ustaj care i w Bośni izlecze
Ustaj care, starowina te budi,
Ustaj wode, osłobodi ludi!

Ta pieśń naprowadziła mię na ślad i kazała mi się pokusić o zebranie legend i pieśni o Sobieskim w jedną całość. Mam już dużo nici powiązanych. Gdy obraz będzie całkowity podzielę się nim z czytelnikami „Złotego Rogu“.

Mieczysław Jełowicki.

Filantropijno-społeczne instytucje dla dzieci zagrożonych moralnie we Francji i u nas.

Oddawna już utrwaliło się przeświadczenie wśród społeczeństw kulturalnych, iż najwyższym i najszczytniejszym ideałem pracy społecznej jest *zapobieganie występkom* oraz *ochranianie przed nimi* nieletnich, nietylko zaś wymierzanie im zasłużonej kary. Najpierwsza Francja spostrzegła, iż ludzie biedni, zapracowani, nie mogą otaczać wystarczającą opieką swych dzieci, a te bezwiednie wstępują na drogę występku i zbrodni. Już przeto w r. 1850 wydał rząd francuski prawo, dotyczące *kształcenia młodych więźniów i opieki nad nimi.*

Na mocy powyższego prawa, wszyscy nieletni więźniowie otrzymywali wykształcenie religijno-moralne i zawodowe. Mali zaś przestępcy, wykazujący dobrą wolę i usiłowanie poprawy, przenoszeni byli z więzień do rodzin prywatnych, gdzie z początku przebywali czasowo, później zaś stale. Statystyka, oparta na wieloletniem doświadczeniu ludzi, wykazała, iż największą szkodę pod względem moralnym ponosi dziecko, przebywające w takiej rodzinie, gdzie mają siedlisko nędza, występek i rozpusta.

Opierając się na powyższem doświadczeniu, postarał się prawodawca ugruntować najbardziej zasadnicze podstawy prawa z r. 1850 na innem prawie, obalającem w danym wypadku nadużywanie władzy rodzicielskiej i zalecającem opiekę nad dziećmi moralnie zaniedbanemi. W tym samym czasie z inicjatywy Juljusza Simona powstał *Francuski Związek opieki nad dziećmi.* Celem związku było wyszukiwanie dzieci moralnie zaniedbanych oraz zdobywanie środków materjalnych, niezbędnych do utrzymania małych przestępców. I wkrótce powstało wiele zakładów, mających na celu niesienie nieletnim przestępcom pomocy i moralnej opieki, jako to *Zakład opieki nad dziećmi i młodzieżą*, ufundowany przez Henryka Rollet'a.

Przed kilkunastu laty, założono na prowincji znaczną liczbę zakładów tego samego typu. Wyróżnia się z pośród nich zakład *Petit Querilly* w pobliżu Rouen oraz *zakłady wyrobów bednarskich,* zakłady w Marsylji pod kierownictwem L. Conte'a i wiele innych, których wyliczanie zajęłoby kilka kolumn. Dla dziewcząt Francja oddawna posiada zakłady, znane pod nazwą *Le Bon Pasteur*. Zakłady powyższe obmyślając coraz to nowe środki umoralniania i pomocy, nieobliczone przynoszą korzyści.

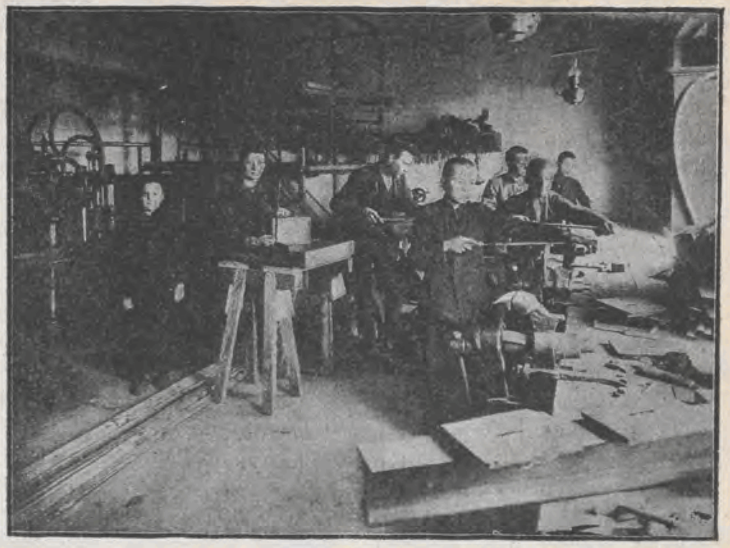
Oprócz powyższych, powstało wiele zakładów prywatnych, ufundowanych w celu rozciągania opieki nad występnemi dziećmi, bądź przed zastosowaniem środków prawnych, bądź po ich zastosowaniu. Najpierwsze wśród nich miejsce należy się znakomitym *Komitetom obrony dzieci, oddanych w ręce sprawiedliwości,* których założycielem był również Henryk Rollet. Pierwszy zakład powyższego typu powstał w Paryżu. Celem instytucji Rollet'a było uchronić młodych przestępców od aresztowania i bronić ich wobec sądu. Liczba domów opieki wzrasta we Francji nieustannie. Jakikolwiek zapadnie wyrok sądowy, domy opieki nie pozostawiają małego przestępcy samemu sobie. Komitet obrony opiekuje się występnemi dziećmi, umieszczając je jak można najlepiej. Istnieją jeszcze we Francji inne instytucje, nadzwyczaj gorliwie opiekujące się małymi więźniami, uwolnionymi bądź warunkowo, bądź ostatecznie.

Do tych należą dwa zakłady, z których jeden znany jest powszechnie w Paryżu pod na-

zwą: *Le patronage des libérés de la Petite Roquette*. Wypuszczona na wolność młodzież znajduje tam pracę, przytułek i opiekę.

Drugi zakład czuwa nad dziećmi z *la Petite Roquette*, nie posiadającemi zupełnej swobody, lecz warunkową, umieszczając je w terminie i mając jednocześnie nadzór nad niemi.

Pozostaje jeszcze *Dobroczynność publiczna*. Rezultatem jej działalności jest umieszczanie dzieci, poczynając od lat najmłodszych u wieśniaków, którzy przyjmują je do swego ogniska rodzinnego, dzięki czemu mogą mieć dzieci to zbawienne złudzenie, iż we własnej pozostają rodzinie.



Warsztaty rzemieślniczo-wychowawcze, założone z inicjatywy p. Rauera i pozostające pod jego kierunkiem. **Ślusarnia.** *Fot. W. Orłowski.*

Nie roszcząc sobie bynajmniej pretensji do współzawodnictwa z Francją, której, dla zrozumiałych powodów, przez długie jeszcze lata dorównać nie będziemy w stanie, nie można jednak nie przyznać, iż rozwój i działalność rozmaitego typu Towarzystw opieki nad dziećmi znaczne u nas w czasach ostatnich poczyniły postępy.

Zanim przystąpimy do opisu rozmaitych instytucji i zakładów, przeznaczonych dla moralnie zaniedbanych dzieci, zaznaczyć będziemy musieli, iż cel i zadania Towarzystw opieki nad dziećmi u nas różne są zupełnie, aniżeli cel i zadania podobnych Towarzystw we Francji. Podczas bowiem kiedy w kraju, gdzie wszystkie dzieci, bez wyjątku, znaczną część dnia spędzają w szkole, zakłady, o których mowa, przeznaczone są dla pewnej tylko kategorji osobników, to u nas cel zasadniczy wspomnianych instytucji polega więcej na zbieraniu ubogiej dziatwy i umieszczaniu jej w jakiemś zdrowem, moralnem i hygjenicznem środowisku.

Przeto wszystkie istniejące u nas zakłady, które powstały z inicjatywy i staraniem rozmaitych towarzystw opieki nad dziećmi, podzielić można na dwie kategorje: na karne i opiekuńcze. Z karnych zakładów dla nieletnich przestępców znane są powszechnie: „Zakład poprawczy dla chłopców w Studzieńcu" oraz „Przytułek poprawczy dla dziewcząt w Puszczy". Obie powyższe instytucje założone zostały przez Towarzystwo osad rolnych i przytułków rzemieślniczych.

Celem obu wyżej wspomnianych zakładów jest moralna poprawa nieletnich przestępców oraz przygotowanie ich do uczciwego i pracowitego życia. Starają się zatem pomienione instytucje o religijno-moralny umysłowy oraz fizyczny rozwój swoich wychowańców, udzielając im przytem wykształcenia elementarnego oraz przygotowując do pracy zawodowej.

Do zakładu poprawczego w Studzieńcu przyjmują przestępców od lat dziesięciu do siedemnastu, w Puszczy zaś — przestępczynie już od 8-go roku życia. Oprócz przestępców przyjmuje zakład nieletnich żebraków, włóczęgów i wogóle dzieci, pozbawione przytułku i opieki.

Nieletni przestępcy, oskarżeni o czyny występne, przebywają w zakładzie do chwili ukończenia śledztwa, o ile możności oddzielnie od innych wychowańców. Obok wykształcenia elementarnego i zawodowego, jakie daje zakład w Studzieńcu, zajmują się nadto wychowańcy uprawą ogrodu warzywnego na przestrzeni jednego morga, jedenastu prętów. Szkoła w przytułku Puszcza składa się z 3-ch oddziałów; w każdym z nich trwa nauka po pięć godzin dziennie i ogranicza się zakresem jednoklasowej szkoły elementarnej. Oto w ogólnych zarysach znaczenie i działalność karnych zakładów w Studzieńcu i Puszczy.



Warsztaty rzemieślniczo-wychowawcze, założone z inicjatywy p. Rauera i pozostające pod jego kierunkiem. **Stolarnia.** *Fot. W. Orłowski.*

Przyjrzyjmy się teraz zakładom opiekuńczym a w pierwszym rzędzie działalności „Towarzystwa opieki nad dziećmi", którego sama nazwa budzi w nas uczucie sympatyczne. Celem Towarzystwa jest niesienie pomocy materjalnej, moralnej i umysłowej

ubogim i opuszczonym dzieciom od niemowlęctwa do pełnoletności oraz kobietom ciężarnym i karmiącym. Towarzystwo otacza opieką dzieci zdrowe, jako też chore fizycznie i upośledzone umysłowo, wreszcie dzieci moralnie zaniedbane i występne. Działalność jego rozciąga się nietylko na Warszawę, lecz i na całe Królestwo Polskie.

Towarzystwo Opieki nad dziećmi zakłada rozmaite pożyteczne instytucje: *Gniazda opieki nad dziećmi, żłobki, ochrony, Dom opieki z internatem, Pogotowie opiekuńcze dla dzieci, sale zajęć, kolonje, przytułki, szkoły początkowe* a nawet w ostatnich czasach założono z szlachetnej inicjatywy p. Rauera zakład rzemieślniczo-wychowawczy, niestety, jeden jedyny tylko i kształcący kilkunastu chłopców, który wkrótce jednak ma być urządzony na stu pensjonarzy.

Towarzystwo przytem mając prawo tworzenia we wszystkich punktach kraju miejscowych gniazd opieki nad dziećmi, otwiera powyższe instytucje zarówno w wielkich miastach, jak i w małych osadach, a nawet po wsiach. Powierza wreszcie sieroty (jak Dobroczynność publiczna we Francji) na wychowanie zacnym rodzinom mieszczańskim lub włościańskim. Z instytucji Towarzystwa pod względem charakteru i usług oddawanych społeczeństwu wyróżniają się dwie, a mianowicie: „Dom Opieki" w Piasecznie i „Pogotowie Opiekuńcze". Pierwszy jako przygarniający i stale utrzymujący sieroty i dzieci bezdomne. Drugie — ponieważ przyjmuje dzieci zbłąkane i zwraca je natychmiast rodzicom lub opiekunom.

Obok gniazd w Warszawie, Towarzystwo posiada gniazda w rozmaitych guberniach Królestwa, a każde z nich utrzymuje szkołę, ochronę lub salę zajęć. Z inicjatywy i staraniem Towarzystwa Opieki założone zostały stałe kolonje dla dzieci. Towarzystwo opieki wysyła dzieci na kurację do Ciechocinka, na letniska i t. p. Z krótkiego powyższego sprawozdania można już powziąć wyobrażenie o społecznem znaczeniu i działalności Towarzystwa Opieki nad dziećmi. Nie można tu również nie wspomnieć o ludowych kąpielach Lenvala, gdzie za opłatą 3 kop. otrzymuje się kąpiel, szklankę ciepłego mleka oraz poradę dentysty i plombowanie zębów w razie potrzeby.

Znane są wszystkim letnie kolonje dla ubogich dzieci d-ra Frytschego, ogródki im. Rau'a, zakłady i szkoła ks. Siemca, zakłady ks. Godlewskiego, zakłady ufundowane przez gm. ewangielicką, Pomoc sieroca—gminy żydowskiej, dla dzieci wyznania mojżeszowego. Nie wszyscy jednak może słyszeli o *Gniazdach sierocych*, zajmujących pierwszorzędne miejsce wśród licznych już w chwili obecnej filantropijno-społecznych instytucji dla dzieci.

Sama nazwa powyższej instytucji wskazuje, iż przeznaczona jest dla sierot. Kierownicy jej przeto mają tem szczytniejsze i trudniejsze do spełnienia posłannictwo, iż przedewszystkiem zbierają bezdomne sieroty, bez ojca i matki, samopas puszczone w świat (dla których głód i nędza jedynymi są kierownikami czynów, a zgubne namiętności starszych towarzyszów losu — jedynym wzorem do naśladowania), i starają się wychować ich na pożytecznych członków społeczeństwa. Powtóre zaś, że tworzą dla nich *gospodarstwa sieroce*, a ludzie je prowadzący w części przynajmniej zastępują dzieciom własną rodzinę. Zarząd Gniazd sierocych przeto, zamiast wielkich zakładów wychowawczych, utworzyć się stara małe gospodarstwa — na dziesięcioro sierot w różnym wieku każde i w osobach dobranych gospodarzy-opiekunów daje dzieciom przybranych rodziców, którzy zapewniają im troskliwą opiekę i dają przynajmniej trochę serca. Do Gniazd sierocych przyjmowane są dzieci od lat 6-ciu i starsze. Elementarne wykształcenie otrzymują sieroty w miejscowych szkołach wiejskich lub w nowozałożonych niższych szkołach gospodarczych, jakie w miarę potrzeby i możności za sprawą Towarzystwa Gniazd sierocych będą powstawały.

Po ukończeniu lat 16—18 wychowańcy przechodzą do średnich szkół zawodowych rolniczych lub rzemieślniczych, jakie w Ognisku Gniazd zostaną utworzone. Tam, stosownie do wykazanych zdolności i chęci, kształcić się będą wychowańcy w obranym zawodzie, jako rolnicy, ogrodnicy, mleczarze, pszczelarze, krawcy, stolarze, szewcy lub innego rodzaju fachowcy. Najwybitniejsze zaś jednostki z pośród wychowańców Gniazd otrzymywać będą wyższe, odpowiednie do swoich zdolności wykształcenie.

Jak widzimy z powyższego, brak u nas jeszcze instytucji o charakterze ściśle ratowniczym i ochronnym, myśl założenia której rzucił właśnie niedawno na łamach naszego pisma, p. Walenty Zieliński. Inicjatywa, jak wiadomo, zainteresowała nasze społeczeństwo a prace przygotowawcze w celu powołania do życia rzuconego projektu są już w pełnym biegu. Instytucja ta ma mieć przedewszystkiem za zadanie walkę z zepsuciem i jego skutkami, deprawującymi dzieci i młodzież płci obojga, poczynając od wieku, gdy budzi się już świadomość *złego*, z roztoczeniem nad zagrożonymi celowej ochrony aż do czasu, gdy okres wychowania będzie można uważać za ukończony.

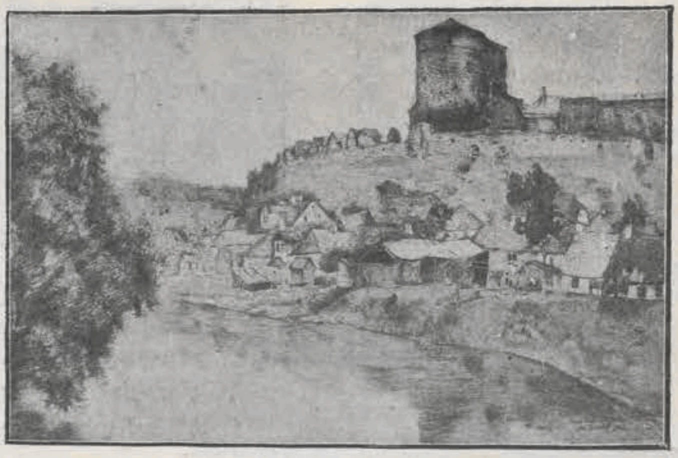
Poprzestając narazie na tem krótkiem objaśnieniu, zaznaczamy, że do sprawy projektowanej instytucji, będziemy powracać w miarę postępu prac, przedsięwziętych już w tym kierunku, zaznajamiając bliżej ogół z celem towarzystwa i sposobami walki, którą instytucja po zatwierdzeniu ustawy przez odnośne władze i zorganizowania się, natychmiast podejmie.

I jeszcze jedno: *nie będziemy uważać niesienia pomocy potrzebującym, wydziedziczonym lub upośledzonym od losu — jako filantropję lecz — jako nasz najpierwszy społeczny obowiązek.*

Z TOWARZYSTWA ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH.

III. Wystawa zbiorowa prac Trzebińskiego i Mondrala.

Zabytki architektury naszej oczekują swego artysty. Widoki miasteczek i osad, które do dzisiejszego dnia zachowały swój średniowieczny charakter, zajmujący nietylko historyków, znamy jeno z ulotnych fragmentów i szkiców ołówkowych. Nie znalazł się jeszcze artysta, któryby celowo zwiedził całą Polskę wzdłuż i wszerz i z sumiennością uczonego i kulturą malarską zebrał te skarby z epoki romańskiej, gotyckiej i renesansu, którymi słusznie chełpić się nawet wobec obcych możemy.



Marjan Trzebiński. (Tow. Z. S. P.) **Widok Kamieńca.**

P. Trzebiński opracowując architektoniczne tematy Kamieńca podolskiego, wykazał wielkie umiłowanie odległych epok i umiał akwarelą naznaczyć przedziwny urok majestatycznych szczątków warowni polskiej i sylwetą rysunkową nie przeoczyć ni jednego załomu barbakanu i strzelniczych wykuszów Kamieńca.

Mimo przestrzegania wielkości rysunkowej, p. Trzebiński umie wywołać kolorystyką pewien nastrój, ton poetyczny o nowem życiu, snującem się wśród starych murów warownego grodu, w którym kolejno szczęściło się tureckiemu i polskiemu orężowi.

P. Mondral w szeregu studjów nadbrzeżnych okolic Biarritz i pagórkowatej Bretanji, wykazuje, iż szczerze szuka owych kosmicznych pierwiastków, które nazywamy duchem krajobrazu. Mimo poszukiwań różnorodnych tematów, oświetleń, p. Mondral dochodzi do skromnych rezultatów malarskich, powracając do jednej i tej samej barwy wibrującej w lazurze górskiej przyrody i nadmorskich oparach.

Krajobrazy swe zanadto wyraźnie dzieli p. Mondral na dwa plany, z których zawsze dalszy wypowiedziany jest dosadniej i zajmująco, w czasie, gdy braki rysunkowe i malarskie jaskrawo występują na nieharmonizującym z całością bliższym widza planie.

Z rezultatu usiłowań artysty wnioskujemy, iż drogę do krajobrazu ma p. Mondral jeszcze



Marjan Trzebiński. (Tow. Z. S. P.) **Kościół w Kamieńcu.**



Karol Mondral. (Tow. Z. S. P.) **Handlarka ryb.**

przed sobą długą i żmudną, lecz talent jego staje się nam wyraźnym na tle czarno-białem akwafort, które wykazują poznanie jaknajlepszych belgijskich wzorów i opanowanie trudnej techniki. Akwaforty p. Mondrala mówią szczerzej, wyraźniej i piękniej, niźli krajobrazy o zdobytej rzetelną pracą kulturze artystycznej młodego malarza.

M. Dienstl.



Kapitan Scott, dotarłszy do bieguna południowego, zastał już tam zatkniętą flagę norweską wyprawy Amundsena.

Tragiczna wyprawa Scotta.

Zawisła snadź fatalność nad ekspedycją naukową kapitana angielskiej marynarki, Roberta F. Scotta, do bieguna południo-



Kapitan Robert Falcon Scott,
tragiczna ofiara wyprawy do bieguna południowego.

wego, przedsięwziętą jeszcze w czerwcu 1910 roku.

W niebezpieczną podróż udał się dzielny kapitan z pełną nadzieją że uda mu się osiągnąć upragniony cel podróży a cała załoga, złożona z 58 osób z wiarą stanęła do walki z niebezpieczeństwami wyprawy.

Wyruszono w drogę z portu Cardittu na okręcie „Terra Nova" a gdy już okręt nie mógł się dalej posuwać ze względu na podbiegunową ścianę lodową, Scott, wraz z kilkoma towarzyszami, udał się na saneczkach, ciągnionych w psy, w dalszą podróż. Dzielny kapitan dotarł do bieguna południowego w dniu 18 stycznia 1912 roku, tam jednak znalazł już namiot i sztandar norweski oraz dokumenty pozostawione przez pierwszego odkrywcę bieguna — Amundsena.

W drodze powrotnej wyprawę spotkały zamiecie śnieżne a gdy się weźmie pod uwagę wprost nieprawdopodobny mróz, dochodzący nieraz do 70° Cels., zaiste, dziwić się tylko należy że wyprawy biegunowe zdolne są jeszcze walczyć z takiemi przeciwnościami. Nietylko odwagi lecz już i fizycznej odporności i wytrzymałości na to potrzeba. Wyprawa ratunkowa, wysłana na poszukiwania pod kierunkiem d-ra Atkinsona, znalazła namiot kapitana niemal zasypany śniegiem. Po odgarnięciu śniegu znaleziono zamarzłe zwłoki Scotta w postawie siedzącej, obok leżały zwłoki d-ra Wilsona i porucznika Boversa. Zwłok rotmistrza Oatesa nie można było odszukać. Prócz czterech wspomnianych zginął również, doznawszy wstrząśnienia mózgu przy upadku z lodowca, podoficer wyprawy Edgar Evans.

Wyprawa ratownicza znalazła przy nieszczęśliwych ofiarach ekspedycji biegunowej, dużo cennych dokumentów i notatek, które niewątpliwie będą miały doniosłe znaczenie. Zginęli męczennicy w imię nauki—wielcy bohaterowie Anglji!

Kamienica książąt Mazowieckich.

W ubiegłym tygodniu, delegowani członkowie T-wa miłośników historji, z znakomitym naszym historykiem, mecenasem Aleksandrem Krausharem na czele, nabyli z funduszu, przeznaczonego przez hojnego ofiarodawcę księcia Adama Czartoryskiego, prastarą kamienicę książąt Mazowieckich na Starem Mieście pod № 48.

Kamienica ta, choć dziś zatraciła nieco swój dawny charakter, posiada jednak poza dowodami historycznymi, również wiele cech, stwierdzających jej przeszłość. Wspaniały ów zabytek, powróci jednak do pierwotnego swego wyglądu, bowiem Tow. mił. hist. przystąpić ma niebawem do rekonstrukcji tej cennej pamiątki narodowej.

Początek kamienicy, która, jak



„Terra Nova", okręt wyprawy biegunowej kapitana Scotta.

świadczą niektóre jej cechy, była zapewne niegdyć zameczkiem obronnym, sięga czasów



Adam ks. Czartoryski,
Ofiarował Tow. miłośników histor. *kamienicę książąt Mazowieckich.*

pierwszych książąt Mazowieckich, zbudowana więc zapewne została wkrótce po podziale Polski pomiędzy synów przez Bolesława Krzywoustego.

Są pewne dowody, że mieszkał w niej również w r. 1361 Kiejstut książę litewski, dalej w latach 1383—1393 miał tam być również podejmowany przez ks. Janusza, brat królewski — Witold, a i Władysław Jagiełło, płynąc wodą na objęcie Kujaw, mógł tam przemieszkiwać.

W r. 1503 umiera Konrad ks. Mazowiecki, wówczas księżna rejentka, Anna, przenosi się z dziećmi do Warszawy, a po jej śmierci w r. 1522 córka jej Anna opiekuje się małoletnimi swymi braćmi Januszem i Stanisławem, niefortunnymi ostatnimi książętami Mazowieckimi, których życie rozpustne ostatecznie przyspieszyło ich zgon.

Na mocy więc układu zawartego przedtem z królem Olbrachtem Jagiellończykiem, księstwo Mazowieckie po wygaśnięciu linji Piastowiczów przechodzi do korony.

Wraca tedy w. r. 1535 dawny zameczek ks. Mazowieckich do dóbr stołowych monarszych o czem świadczy przeróbka wyrzeźbiona nad wchodową sienią.

Kamienica, jak to już wspomnieliśmy, musiała być niegdyś obronnym zameczkiem, posiada bowiem potężne skarpy od strony Wązkiego Dunaju, kryty narożny wykusz, zwrócony ku ulicy Nowomiejskiej z którego w razie potrzeby strzelać bezpiecznie można było, jak również dwupiętrowe piwnice, przeznaczone zapewne wówczas na więzienie, urządzane zwykle pod dawnemi warowniami.

Wielce zasłużony badacz historji Warszawy, znakomity poeta Wiktor Gomulicki w „Opowiadaniach o Starej Warszawie“ (*Biblioteka dzieł wyborowych*—trzy tomy), zaznajamia nas szeroko z losami kamienicy książąt Mazowieckich, czyniąc wiele cennych odkryć; czytelników więc, bliżej interesujących się tym przedmiotem, odsyłamy do rzeczonego dzieła. Warto byłoby również obejrzeć starożytną kamienicę.



Kamienica na rogu Starego Miasta i Wązkiego Dunaju, należąca dawniej do książąt Mazowieckich.

TEATR I MUZYKA.

Z TEATRU MAŁEGO.

„Losy Europy“ Brunona Winawera wystawiono w tygodniu ubiegłym na scenie teatru Małego, która żywi się dotychczas tanimi przekładami sprowadzanymi „via Berlin“. P. Winawer chciał być aktualnym satyrykiem politycznym na scenie i ta aktualność udała mu się wprawdzie nie w ten sposób jak traktuje podobne teatry arcymistrz dyplomatycznej wojskowej satyry Roda-Roda współpracownik „Simplicissimusa.

Publiczność zaśmiewała się szczerze z chwiejnej sytuacji politycznej, z tajemniczej rozmowy dyplomaty czarnoszyjskiego z rakuskim bardzo dobrze poprowadzonej przez p. Jaracza i Neubelta. *(m. d)*

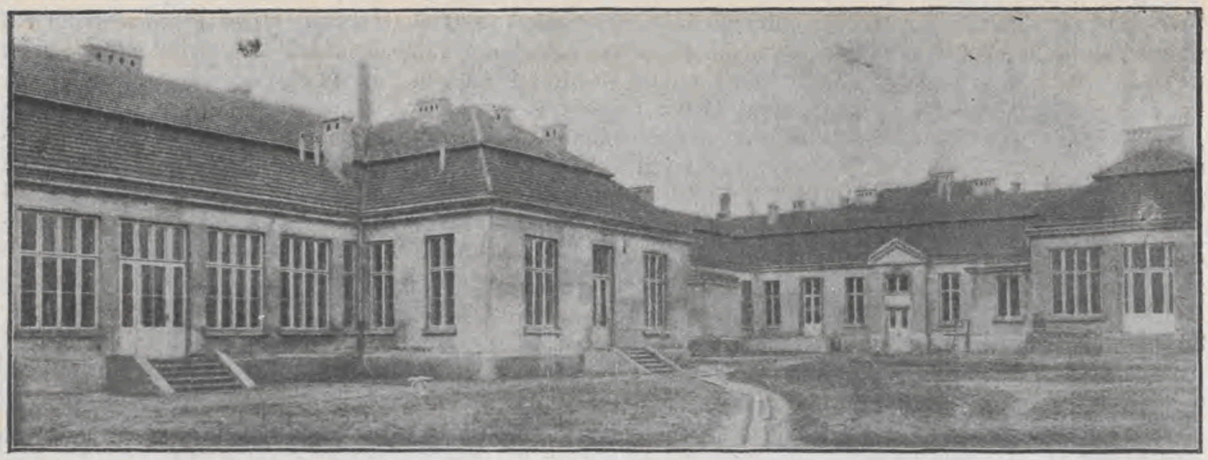
Z TEATRU LETNIEGO.

„Serce nie sługa“ komedja Fryderyka Croiseta jest historją pewnego młodzieńca, który miał szczery zamiar zdobyć majątek bez skrupułów i z całym szczerym cynizmem, lecz zwyciężony miłością, staje się człowiekiem czystym jak łza i stałym jak granit. Jak widzimy osnowa tej sztuki ma wiele akcentów melodramatycznych, lecz znakomita gra artystów tej niesłusznie zwanej „trzecią“ sceny, sprawia iż sztuka ta zajmuje od początku do końca. Za mistrzowsko opracowaną scenę liczenia pieniędzy nagradza publiczność p. Fertnera rzęsistymi oklaskami. Zespół z p. Leszczyńską, Gasińskim, Lubicz-Sarnowską na czele był wzorowy. *(m. d.)*

Z FILHARMONJI.

Utalentowany kapelmistrz p. Sztejnberg, doskonale dyrygował orkiestrą, która pod jego batutą wykonała wstęp z Tristana i Izoldy Wagnera i „Śmierć Izoldy“, symfonję Kalinnikowa i poemat symfoniczny p. t. „Sen lasu“ utwór Sztejnberga, poświęcony Warsz. Ork. Filharm.

Utwór ten nie posiada żadnych cech oryginalności, ani też nic zajmującego w nim znaleźć nie można. P. Józef Smidowicz, pianista, grał bardzo dobrze z towarzyszeniem orkiestry koncert d-moll Rubinsztajna i parę utworów nad program. Nie jest to jeszcze skończony wirtuoz, ale może się już poszczycić dobrą techniką, silnym tonem i czystością gry. *Z.*



Szpital dziecięcy przy ul. Żytniej, wartości 450000 rb., ofiarowany miastu przez p. Zofję Szlenkerównę.

Pomnikowy dar.

W tych dniach, znana ze swej ofiarności i działalności społecznej, panna Zofja Szlenkerówna, zeznała akt ,mocą którego ofiarowywuje miastu szpital dziecięcy przy ulicy Żytniej, zbudowany przez nią jeszcze w roku ubiegłym.

Jest to dar wspaniały, szpital bowiem przedstawia wartość najmniej 450000 rb., obliczony jest na blizko 100 miejsc a urządzenie odpowiada najnowszym wymaganiom techniki i hygjeny.

Koszt utrzymania szpitala wynosić będzie 50000 rb. rocznie co chyba jest drobnostką w porównaniu do przyszłych dobrodziejstw tego pierwszego szpitala dziecięcego, utrzymywanego przez miasto.

Szpital wspomniany, noszący miano Karola i Marji Szlenkerów będzie pięknym pomnikiem tej znanej z ofiarności rodziny, która nie pierwszy raz zaznaczyła w podobny sposób swą obywatelską działalność.

Wogóle zaznaczyć należy fakt, że w ostatnich czasach ofiarność na cele publiczne znacznie wzrosła i to nietylko z zapisów pośmiertnych, lecz nawet i za życia hojni ofiarodawcy nie zapominają w tym kierunku o swych obowiązkach wobec społeczeństwa.

Ś. p. Wincenty Karpiński.

W dniu 15 lutego rozstał się z tym światem ś. p. Wincenty Korab Karpiński, dr. filozofji b. profesor politechniki lwowskiej, zasłużony rolnik i badacz na niwie gleboznawstwa.

Urodzony w r. 1867, po ukończeniu szkoły Pankiewicza w Warszawie, uczęszczał na uniwersytet w Zurychu a w r. 1891 otrzymał już doktorat.

Powróciwszy do kraju zostaje w r. 1892 asystentem rolniczej stacji doświadczalnej w Sobieszynie. Ogłosił tam szereg prac z dziedziny gleboznawstwa, które dziś cenną po nim stanowią spuściznę. Brał również blizki udział w pracach naukowo-hodowlanych na stacji doświadczalnej w Suhakach na Podolu.

Następnie zostaje powołany na kierownika stacji doświadczalnej rolniczo cukrowniczej w Grodzisku i Jeżowie a w końcu wyjeżdża do Lwowa, powołany na katedrę rolnictwa przy tamtejszej politechnice. Wobec braku organizacji opuszcza jednak to stanowisko a po roku akademja rolnicza w Dublanach proponuje mu katedrę chemji



Ś. p. Wincenty Karpiński,
wybitny przyrodoznawca i rolnik.

rolniczej i kierownictwo stacji doświadczalnej.

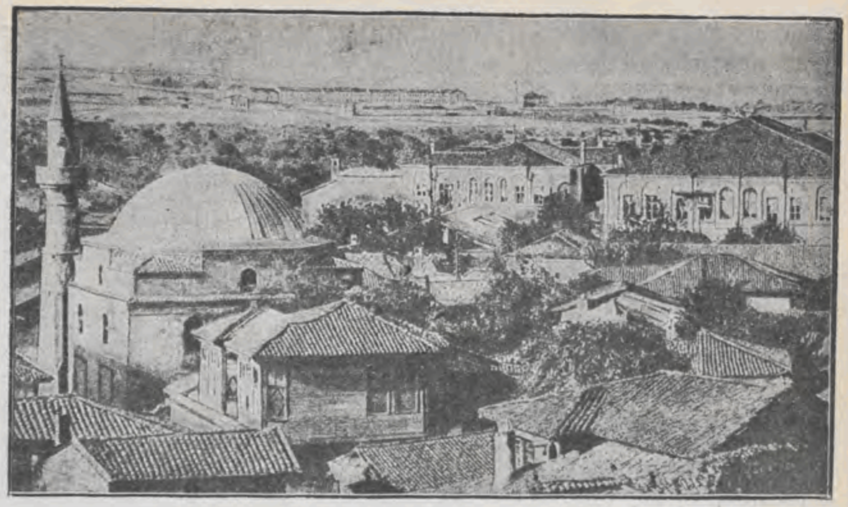
Przedwczesna śmierć jednak przecięła pasmo jego zacnego żywota, nie pozwalając spełnić tych wszystkich zamierzeń, do których zmarły przez wiedzę swą i naukę był w pierwszym rzędzie powołany.

Miecz i dyplomacja.

Czy będzie wojna? Narody a państwa. Siła faktów dokonanych. Zatarg rumuńsko-bułgarski. Rewolucja w Meksyku.

Pytaniem, górującem obecnie nad wszystkiemi innemi, rozbrzmiewającem po wszystkich niemal zakątkach Europy, jest: czy będzie wojna? A pod wyrazem tym każdy rozumie jakąś ogromną zawieruchę, w której wir wciągnięte zostaną wszystkie mocarstwa europejskie. Jeśliby wolno było autorowi uwag niniejszych zabawić się w proroka, — odpowiedziałby: wojny nie będzie. A odpowiedziałby dla tego, że zarówno narody, jak i olbrzymia większość jednostek, narody owe składających, nie chce wojny, obawia się jej, drży przed strasznym obrazem zniszczenia, jakiby taka wojna musiała spowodować.

Ale wola narodów w stosunkach międzypaństwowych w Europie nie jest w tym zakresie decydująca. Ma ona, wola, pewne znaczenie, znaczenie może nawet większe, aniżeli dawniej miewała, — lecz nieraz jeszcze dzieje się na świecie wbrew jej żądaniom, wbrew jej chęciom. I dziś jeszcze, jak przed wiekami, o wojnie lub pokoju decyduje „interes państwa“, jak go rozumieją ci, co państwami rządzą. Stąd też nie bez racji



Ogólny widok Adrjanopola. (Wdali widać koszary).

mówi się, że przyjście do steru rządów tego lub owego człowieka—oznacza pokój lub wojnę. Z nazwiskiem np. urzędującego od kilku dni nowego prezydenta Francji łączą nadzieję, że „silną ręką“ będzie kierował polityką Francji a tem samem wpływać będzie na całokształt stosunków europejskich. A nadzieje te oparte są nietylko na stonowczości, ale i na brzmieniu jego nazwiska: w starej mowie francuskiej „poing caré“— pięść kwadratowa — oznaczało to samo, co dziś określamy wyrazami „silna ręka“.

I rzeczywiście potrzeba silnej ręki do rozplątania węzła sprzecznych interesów miedzypaństwowych. Jeśli nie znajdzie się ręka taka, to, zdaniem najwybitniejszych polityków dzi-



Szukri-pasza, obrońca oblężonego Adrjanopola.



Generał Iwanow, wódz armji, oblegającej Adrjanopol.

siejszych, nie pozostanie nic innego, jak przeciąć mieczem ów węzeł i stworzyć „fakty dokonane“, jedyną dziś wyrocznię w sprawach między państwami.

Przez długie wieki utrzymywano z całą stanowczością, że „status quo“ na Bałkanach nie może być naruszony. Wojska bałkańskie nie pytając o pozwolenie, nietylko naruszyły, ale zburzyły go doszczętnie.

Obecna wojna bałkańska jużby się dawno skończyła, gdyby nie sprzeczność między żądaniami związkowców a faktami dokonanymi. Bułgarzy domagają się Adrjanopola, Czarnogórcy Skutari. Turcja nie chce słyszeć o ustąpieniu. Więc z jednej strony Szukri-pasza broni Adrjanopola z zaciętością, a z drugiej generał Iwanow zaciekle go bombarduje.

Na fakcie dokonanym chce też, jak się zdaje, oprzeć swe pretensje Rumunja, żądająca od Bułgarji ustąpienia znacznego pasa ziemi, przez który przepływa Dunaj.

Dzięki naszej neutralności,— mówi Rumunja do bułgarów,— wzmocniliście się tak, że nawet dla nas stajecie się niebezpiecznymi; więc teraz wy nas z kolei wzmocnijcie.

Pretensje rumuńskie popierają Niemcy, popiera Rumunję Austrja, pragnąca mieć sojuszniczkę przeciw słowianom bałkańskim.

Pretensje rumuńskie, to jedno z najważniejszych źródeł obawy powszechnej o zachowanie pokoju w Europie. Wojnę ludów bałkańskich z Turcją zdołano, „zlokalizować“, nie pozwolono pożarowi wojennemu rozszerzyć



Hakki-pasza, w ważnej misji wydelegowany przez rząd turecki do Londynu.



Strzelcy rumuńscy podczas marszu.

się na Europę. O wiele trudniejszem byłoby to zadanie w razie wybuchu wojny między Rumunją a Bułgarją. Nie bez słuszności powiadają niektórzy politycy, że strzały nad Dunajem, z armat rumuńskich przeciw Bułgarji wymierzone, byłyby zapowiedzią powszechnej pożogi.

O skutkach jej wnosić można z małej próbki, jaką daje wojna domowa w Meksyku, wywołana niezadowoleniem z rządów prezydenta Madery. Jak wiadomo, usunął on dawniejszego prezydenta, sławnego Bartłomieja Diaza, jednego z najdzielniejszych władców, któremu Meksyk rozwój swój i rozkwit zawdzięcza. Madera — na miejsce dobrej gospodarki, wprowadził zdzierstwo i łupiestwo. Na czele niezadowolonych stanął bratanek Bartłomieja Diaza. Madera stawił opór. Kraj cały objęły płomienie wojny.

I oto już po dwuch tygodniach widać jej skutki: tysiące zabitych i rannych, Meksyk zniszczony, najwspanialsze jego budowle zburzone, na prowincji mnóstwo miast i wsi spalonych. Gdzie przedtem była wspaniała kultura, dziś jest pustynia.

A to tylko wojna między dwoma pretendentami do fotelu prezydjalnego. Jakież byłyby wyniki wojny między sześciu mocarstwami!.. (*h. m.*)



Niemcy kokietują Rumunję. Książę Ejtel Fryderyk pruski zwiedza w towarzystwie księcia Ferdynanda Rumuńskiego artyleryjskie koszary „Malmaison“ w Bukareszcie.



Prezydent Madera, rządami swymi wzbudził niezadowolenie ludności meksykańskiej.



Generał Feliks Diaz, przywódca rewolucji w Meksyku, przeciwnik rządów obecnego prezydenta.

Książki

Jan Lorentowicz. Polska pieśń miłosna. Antologja. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Jako się Eros w poezji polskiej, w różnych czasach przejawiał, w jaki się kształt słów przeistaczał i jako silnie łuk tęsknot swych napinał — uwidocznił to Jan Lorentowicz, krytyk wytrawny i subtelny, a w jądro Piękna istotnego zawsze wnikający. W książce, będącej chronologicznie ułożoną antologją, zebrane zostały najwybitniejsze polskie ucieleśnienia słowne miłosnych uczuć, począwszy od pieśni ludowych, poprzez klasyczne erotyki bardów złotego wieku, stanowiących nieprzebraną skarbnicę najczystszej polszczyzny, aż do namiętnych hymnów „Młodej Polski“. Reprodukcje dzieł sztuki uświetniają szatę zewnętrzną tej książki, która jest żywem stwierdzeniem ewolucji naszej pieśni miłosnej, jej coraz większego rozkwitu, coraz silniejszych akcentów, jest wieńcem z polskich kłosów i kwiatów. *J. A.*

Wincenty Rapacki. „Król Husytów“. Powieść str. 180. Nakładem „Kasy przezorności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich“. Skład główny u Gebethnera i Wolffa. Warszawa. 1913.

Biblioteka Pamiętników. Rocznik I. Styczeń. № 1. „Pamiętniki prof. Józefa Franka“, z francuskiego przetłumaczył, wstępem i uwagami opatrzył d-r Władysław Zahorski. Tom I. Str. 235. Wilno, nakładem Tow. Udz. „Kurjer Litewski“. 1913.

Premjum artystyczne „Złotego Rogu“.

Pierwszy termin wyznaczony na d. 15 lutego r. b. w celu obdzielenia naszych prenumeratorów 4 obrazami (bezpłatne premjum za styczeń), uległ kilkodniowej zwłoce, ze względu na prace przygotowawcze w tym kierunku. A zatem dopiero w dniu 19 b. m. o g. 7-ej wieczorem w obecności osób zaproszonych ze świata literackiego i artystycznego, członków naszej redakcji oraz personelu administracji odbyło się przyznanie artystycznego premjum za m-c styczeń czterem szczęśliwym wybrańcom losu z pomiędzy naszych prenumeratorów, odpowiadających warunkom poprzednio przez nas ogłoszonym. Po ujawnieniu nazwisk, stwierdzono — że 1) obraz Kietlicz-Rayskiego „Widok Kazimierza“ przypadł w udziale p. Adamowi Kucewiczowi z Tuczyna (poczta Tuczyn) w gub. Wołyńskiej. 2) Tegoż Kietlicz-Rayskiego „Typ z Chełmszczyzny“ — p. Zenonowi Cywińskiemu z Zduńskiej Woli w gub. Kaliskiej. 3) Marjana Puffkego „Motyw z Bukowiny“ — p. M. Sosińskiemu z Krzywoszyna, poczta Rusinowicze, w gub. Mińskiej. 4) Stefana Filipkiewicza „Studjum“ — p. Wojciechowi Frydrychsonowi, apteka i laboratorjum chemiczne w Kowlu — (przez księgarnię Gebethnera i Wolffa). Reprodukcje powyższych obrazów umieścimy w następnym numerze. Prenumeratorowie z Warszawy tym razem widać nie mieli szczęścia, może więc następne premjum za luty nie ominie syreniego grodu.



Femina

Kobiety a wojna.

Nigdy chyba nie widziano podobnie wzniosłych i zadziwiających przykładów poświęcenia, jakie okazują podczas obecnej wojny bałkańskiej, kobiety, należące do Czerwonego Krzyża.

Jeżeli jest cośkolwiek, co zdoła rozświetlić tragiczne mroki wojny, to jest nim widok kobiet, spieszących z pomocą ku cierpiącym: Bułgarom, Turkom, Serbom, Grekom. Pielęgniarki, szarytki, zakonnice wszystkich krajów idą bez wahania, tam gdzie płyną rzeki krwi ludzkiej, gdzie zieją rany, w kurzawie i zgiełku bitew, pod nie szczędzącym ani młodości ani życia gradem morderczych szrapneli i kul, odłamków bomb i granatów. Idą, aby koić cierpienia, uśmierzać ból, umiejętną zapobiegliwością troskliwych dłoni podsycać gasnące życie, zasklepiać otwory ran, przez które wraz z krwią uchodzą siły.

Cała ta armia kobiet, z przepaskami Czerwonego Krzyża na ramieniu, stanowi idealny wzór sprężystej i celowej organizacji. Na pierwszy zew zerwała się do lotu, niby chmura aniołów, niosących ratunek i pocieszenie.

Idą na posterunek honoru i nieszczęścia; poprzez zburzone wały twierdz. Pod namiotami pospiesznie rozstawionymi snują się cicho i szybko, od łóżka do łóżka, jeno rozczulone spojrzenia żołnierzy śledzą zbawienne, kojące ruchy dobroczynnych, białych rączek. O tak! W obecnej wojnie kobiety europejskie wystawiły sobie chlubne świadectwo. Kultura duszy przezwyciężyła wstręt i obawę, szlachetne intencje zapanowały nad uprzedzeniami.

Nie wszystkie zdołały udać się na wojnę. Ale te, które siła obowiązków zatrzymała w domu, potrafią także być użyteczne. Bohaterom nieznanym i dalekim ślą dowody współczucia i uczynności; dążeń wspólnotę i duchową krzepiącą podnietę do walki.

Od kilku miesięcy legjon małych, połyskliwych igieł, przebiega błyskawicznie i wskroś płótno, albo wełnę, tam i napowrót, niezmordowanie a cierpliwie, aby dla żołnierzy, którzy zabijają się nawzajem i cierpią głód i chłód, odmrażający ręce i nogi, przygotować bieliznę czystą i odzież ciepłą.

Dla którego rannego uszyte są te pasy długie a cienkie, co owiną się wokół krwawiącego ramienia? Dla jakich pleców drżących w febrze służyć będą te szale lekkie a ciepłe?

I czyjeż-to ciało poranione przyoblecze się w tę białą koszulę, uszytą z zapałem, jaki daje świadomość, że jest to koszula przeznaczona dla żołnierza, który ginie na wojnie?

Któż jest ten nieznajomy, któremu przypadnie w udziale korzystanie z rezultatu wzruszającej pracy kobiet poświęconych miłosierdziu?

Kto wie? Może to będzie ów Bułgar, ktoremu matka-bohaterka powiedziała: „Idź synu i pomścij śmierć twego ojca, zabitego przez Turków?“ A może będzie to... minister, biorący udział w walce, ponieważ wszyscy, bez różnicy stanu powinni walczyć przy boku króla, za honor ojczyzny?

Może ten starzec, który opuścił bank gdzie był dyrektorem, mówiąc: „I ja także chcę wstąpić do wojska i umrzeć dla ojczyzny“? A może ów Ormianin zabity w sposób zwierzęcy? Może Turek, jak rzeszoto podziurawiony kulami?

Ze wzruszeniem czyta się opis pochodu zdążającego na pomoc, tej „misji pomocy“ spieszącej naprzód z czerwonym krzyżem na piersi, zagradzającej drogę śmierci i przy akompanjamencie muzyki dział donośnie wypowiadającej wielką zasadę miłości: „Kochajmy się i wspierajmy! Naprawmy klęskę ludzkości!“

W całej Europie utworzyły się specjalne komitety pań, niosące pomoc, czy to pod postacią pieniędzy, czy w naturze—oddziałom Czerwonego Krzyża. W samym Paryżu powstało aż pięć komitetów tego rodzaju. Cała akcja prowadzona jest planowo, z wielką energją i nakładem. Panie gorliwie zajmują się przygotowywaniem zapasów odzieży, wojłokowego obuwia i środków opatrunkowych.

Byłoby rzeczą wielce pożądaną aby i u nas powstał komitet tego rodzaju. Chętnych i wprawnych dłoni i... portmonetek znalazłoby się chyba wiele, potrzeba tylko kogoś, ktoby to wszystko zdołał zorganizować, po uprzedniem zapoznaniu się z działalnością tego rodzaju komitetów zagranicą.

Prawdziwa litość idzie do wszystkich, bez wyjątku na narodowość i przynależność klasową, kobiety więc, które czułe są na cierpienia ludzkie, winny skupić się razem, by nieść pomoc ofiarom wojny, bez względu do jakiego obozu ofiary te należą.

My, które zostajemy w domu, które nie mamy braci, ani mężów na polu walki, powinniśmy pamiętać o tem, że gdzieś giną całe tłumy ludzi, w walce zaciekłej, i ludziom tym należna jest pomoc.

Alina.

KAPELUSZ.

Każda z pań która ubiera się starannie, dbając o estetykę poszczególnych części składających całość eleganckiej tualety, wie dobrze jak ważną rolę odgrywa w kobiecym stroju — kapelusz. I nic dziwnego, bo wszak kapelusz to przybranie głowy, to jej najbliższe otoczenie — to ramy, w które ją ujmujemy. Nawet osoby bardzo „modzie“ posłuszne, pozwalają sobie jednak na własną osobistą inicjatywę gdy chodzi o wybór... kapelusza.

Często dają się słyszeć narzekania na jakiś bardzo noszony fason kapelusza w którym jednak jest danej osobie „nie do twarzy“. Zdarza się to najczęściej z początkiem każdego sezonu, wówczas kiedy następują konieczne zmiany kształtów i przybrań. Nawet niebardzo wybredne panie i nie poświęcające masy czasu na wybór różnych tualetowych fatałaszków, znajdując się w magazynie mód mierzą kilka kapeluszy i trudno się na wybór decydują. W tym wypadku doradczynią staje się modystka, której cała sztuka polega na tem, by zręcznem włożeniem na głowę klijentki kapelusza, lekkiem zmodyfikowaniem uczesania — wysunięciem jakiegoś loczka, podniesieniem lub opuszczeniem jakiegoś promienia włosów, wywołać właściwy efekt, zachęcający do nabycia, decydujący kupno. Jest to praca olbrzymia, trud o jakim mają pojęcie tylko te osoby, które się w sezonie taką sprzedażą zajmują...

Jak wielką wagę ładnie ubierające się panie przywiązują do kapelusza, mieliśmy dowód w owych czasach, w których przeprowadzała się walka o zdejmowanie kapeluszy w teatrach i na koncertach. Miała ona przebieg istotnie wojowniczy i zacięty. Wchodziły w grę, z jednej strony przyzwyczajenie zakorzenione i poczucie, że zdjęcie kapelusza ujmuje wdzięku i elegancji - z drugiej najsłuszniejsze żądania współwidzów, pozbawionych możności należytego korzystania z opłaconego widowiska. Kapelusze stały się plagą teatralną. Napróżno nawoływała prasa i wyśmiewała humorystyka, napróżno perswadowali ojcowie, bracia, mężowie. Panie stawiały mężny opór, narażały siebie i swoje w teatrze otoczenie na bardzo niemiłe uwagi a nieraz nawet na impertynencje. — Kapelusz pozostawał zwycięsko na swojem stanowisku. Wreszcie nadeszła ostatnia chwila... kapitulacji—zmieniono prośby i perswazje na formalne rozporządzenie—na zakaz — stało się to z dnia na dzień — kapelusz zakończył swoją teatralną karjerę!... Płakały po nim piękne oczy, spospępniały nadobne oblicza próbowano nawet bojkotu ale ten się nie utrzymał, bo przecież bez teatru obejść się trudno, martwiły się modystki, cieszyli się fryzjerzy — było to czas jakiś „wypadkiem dnia“ aż wreszcie wszystko doszło do normy i należytego porządku.



Dziwolągi mody w dziedzinie kapeluszy.

Minęły lata — dziś *ta burza w szklance wody* jest dla pań już tylko wspomnieniem chwilowej porażki, którą sobie oddawna powetowały. Nie przeczę że kapelusz do tualety teatralnej, miał swoje dobre i miłe strony. Przedewszystkiem, nie wymagał tak starannego uczesania a elegancją swoją podtrzymywał skromniutką nieraz sukienkę. Wogóle, ubranie wieczorowe z którego wykluczony jest kapelusz, wymaga większego szyku, większej elegancji, brak mu wiernego sprzymierzeńca, tualeta sama już walczyć musi o palmę zwycięztwa.

W wielkich stolicach z Paryżem na czele, eleganckie panie zmuszone wyrzec się kapeluszy w teatrach — nie noszą ich wieczorem wcale. Idąc do pierwszorzędnych restauracji na obiad, na koncerty lub do cyrku, gdzie wejście w kapeluszu nie jest wzbronione — ukazują się w prześlicznie uczesanych głowach z olbrzymiemi egretami lub paradyzami. Owe wielkie, tak twarzowe, tak strojne kapelusze, noszone są teraz do tualet wieczornych przez panie należące nie do świata prawdziwego, lecz do jego... imitacji.

O ile jednak kapelusz przy ubraniu wieczorowem stracił wiele na wzięciu a wkrótce zostanie zarzuconym zupełnie, o tyle od wczesnego rana przez dzień cały, jest on naszym nierozłącznym wiernym towarzyszem. Niema takiej okoliczności w życiu wielkomiejskiej pani, w którejby mogła się obejść w dzień, bez kapelusza. Czy to na proszone śniadanie w domu prywatnym lub w restauracji, czy to na ranną lub popołudniową wizytę, kapelusz jest nieodzowny, a zdejmowanie go

byłoby oznaką jakiegoś prowincjonalnego tualetowego zacofania. Wielkomiejska pani idzie często na jakąś wystawę na jakieś posiedzenie, następnie udaje się na five o'clock... jakże utrudzającem byłoby ciągłe zdejmowanie i wkładanie kapelusza, którego obecność na głowie stała się drugą naturą wielkomiejskiej pani i najmniejszej nie sprawia jej różnicy.

Na prowincji jednak — nawet w elegancji, dzieje się inaczej. Oto jak jedna z wytwornych paryżanek opisuje prowincjonalne tualetowe zwyczaje:

Dużo w życiu podróżowałam i widziałam, nie łatwo mnie coś zadziwić może. W świątyniach tureckich zdejmowałam u progów trzewiki nakładając na bose nogi filcowe pantofle, w pałacach chińskich Mandarynów, spożywałam specjalne potrawy za pomocą bambusowych pałeczek, ale oto spotkało mnie coś zupełnie nowego, kazano mi do śniadania, zdjąć... kapelusz... Doznałam niezwykłego wrażenia — zdawało mi się bowiem, że popełniam c z y n nieprzyzwoity, coś czego się nie robi — co jest zabronione... wkrótce jednak się przekonałam, że p a n i e z prowincji przyjeżdżając do Paryża, zachowują swe przyzwyczajenie i przychodzą na śniadanie, lub „five o'clock'i, z gołemi głowami i wtedy spostrzegają przerażone, że są wyjątkiem wśród całego kobiecego otoczenia.

Sławna pisarka francuzka *Gyp*, utrzymuje, że dla kobiet *w pewnym wieku*, duży kapelusz i zręcznie upięta woalka są najpewniejszymi przyjaciółmi i sprzymierzeńcami. Jakby to nie było, nawet dla osób zupełnie młodych, kapelusz jest i pozostanie jednym z najważniejszych tualetowych czynników. Jego kształt, barwa, przybranie właściwe, podnosi, podkreśla urodę naszą. Wybór kapeluszy powinien być czyniony z całą rozwagą, przy pomocy uzdolnionej modystki wyszkolonej na dobrych wzorach, o guście subtelnym i estetycznym. Nie trzeba również zapominać, że uczesanie gra tu wielką rolę. Niema ładnego *modern-style* kapelusza — bez ładnego *modern-style* uczesania. Jeszcze jedno. Najwspanialszy kapelusz z najcudniejszymi paradyzami może stać się śmiesznym, gdyby został włożony na ranny spacer do zwykłego kostjumu.



Lady Hardingue,
żona vice-króla Indji.

Chcąc nosić bardzo strojne kapelusze, trzeba jeździć własnym powozem lub automobilem. Idąc lub jadąc dorożką, trzeba się wyrzec w tualecie wszystkiego co zbytnio rzuca się w oczy.

Marcèle.

Lady Hardingue.

Żona vice-króla Indji.

Wielka dama angielska, żona jednego z największych a bodaj największego dygnitarza Wielkiej Brytanji, Lady Hardingue, posiada bezwzględnie wszystko, czem kobietę obdarzyć może przeznaczenie. Młodość, uroda, wielka w świecie pozycja, olbrzymia fortuna, zdumiewające klejnoty, najcudniejsza rezydencja w słonecznej Kalkucie, armje indyjskie ścielące się pod jej stopy, fantastyczne zaprzęgi, egzotyczne gaje... to zdaje się dosyć dla jednej istoty...

W czasie ostatnich wielkich uroczystości koronacyjnych, których widownią była Kalkuta i Bombay, żona vicekróla towarzyszyła wszędzie królowej angielskiej a cesarzowej Indyjskiej, dzieląc z nią honory i wielkie trudy całego ceremonjału.

Nasza rycina przedstawia *Lady Hardingue* w wielkiej tualecie. Na pięknych włosach djadem, tworzący koronę, do noszenia której pozycja męża daje jej prawo, w uszach olbrzymie *perle-monstre*, naszyjnik ze sznurków brylantowych, zdobnych drogocennemi klamrami, zakończony dwoma rzędami przebajecznych pereł, dalej długi sznur z brylantów, rubinów, szafirów i pereł, na którym splendoryczny motyw z najdrogocenniejszych ogromnych pereł, brylantów i szafirów tworzy jakby kokardę na piersiach. Poniżej gorsu rodzaj bukietu z drogocennych kamieni i znowu olbrzymia perła. Przy boku insygnja różnych orderów, którymi żona vice-króla została obdarzona. Klejnoty te mają wartość olbrzymią— reprezentują miljony, włożone na głowę i szyję kobiecą. Zapominam dodać, że cała frędzla przy rękawach i staniku, wykonaną jest również z kamieni drogocennych i złota. Można sobie łatwo wyobrazić efekt wywołany tymi klejnotami przy pięknem elektrycznem oświetleniu... musiało to być chyba wprost... oślepiające!..

Kilka nowin ze świata mody.

Artystka scen paryskich p. Mona Delza zdobyła miano *królowej mody*. Nie trudno się

domyśleć ile ją ten zaszczytny tytuł musi kosztować pieniędzy, starań i czasu... To co p. Delza nosi teraz w zimie, będzie dopiero na wiosnę dla prostych śmiertelniczek największą nowością. Paryż wzoruje się w tualetach — na artystkach scenicznych, bo mody lansowane przez wysyłane na miasto „manekiny“ nie mają żadnego powodzenia i nikt na nie uwagi nie zwraca. Otóż p. Delza nosi kostjum spacerowy złożony z gładkiej spódnicy, spiętej na boku kilkoma dużymi guzikami i z dosyć długiego żakietu, z materjału w bardzo wydatne pasy. Materjały te wyrabiane są z zupełnie specjalnej, dosyć grubej a bardzo miękkiej wełny. Czy to jest ładne?.. Niewiadomo — ale zawsze jest to ostatnia nowość.

Owe żaboty koronkowe, zdobiące jeden bok stanika, tak epidemicznie modne czas jakiś, dziś należą do przeszłości — popularność je zgubiła. Z początkiem wiosny do pół sezonowych kosjumów nosić będą t. zw. *tour du cou*, czyli okolenie szyi z lekkiego miękkiego futra, zakończone na boku dużą kolorową kokardą.

Do sukien rautowych dekoltowanych, bardzo ładną i modną ozdobę stanowią czarne, szerokie aksamitki, gęsto nabijane sztucznymi kamieniami kolorowemi lub białymi. Na szyi długiej a cienkiej, wygląda to prześlicznie. Przy obecnem zamiłowaniu do świecideł, sztuczne kamienie nikogo nie rażą, nawet bardzo wytworna pani posiłkuje się „imitacją“, bardzo otwarcie.

Staniki głęboko wycięte w szpic, t. zw. *en coeur*, garnirują puszkiem łabędzim, niezmiernie teraz modnym i często zastępującym przy okryciach tak noszone białe lisy. Jest to śliczne, tylko bardzo nie trwałe. Przybranie ze skórek łabędzich, nadaje się także ślicznie do sukienek dziecięcych.

Nowością, w materjałach są wełny, wyglądające jak ryps lub gruba pika — dosyć grube, miękkie, ładnie się układają w draperje. Wełna t. zw. *broche* (w kwiaty lub arabeski) bardzo się nadaje do przybrania na tiuniki lub żakiety, przy spódnicach jedwabnych z *charmeuse* lub *velours chiffon*.

Wszystkie jedwabie t. zw. japońskie w odnośne kwiaty lub desenie, używane są i będą w dalszym ciągu, na suknie domowe (robes d'intérieur) i na tualety specjalne, o charakterze wschodnim, tak bardzo modnym.

Nowością pół sezonową będą kostjumy wykończone z materjału wełnianego, czarnego z białym, w średniej wielkości kratkę (który nigdy z mody nie wychodzi), z żakietem czarnym jedwabnym, krótszym z przodu a z tyłu mocno wydłużonym.

Marcèle.

Osobliwy teatr.

W Londynie znajduje się teatr „Gaiety“, który w ostatnich czasach zaznaczył się zupełnie oryginalnie, stając się *Agenturą małżeńską* w poprawnym wielkim stylu. Klijentami tej pseudo-agentury są młodzi lordowie, żeniący się jeden po drugim z występującemi tam artystkami. Hr. Poulet ożenił się z Miss Sylwią Storen, vice-hrabia Esher z miss Phillis Dare, lord Wiktor Pouget z miss Olive May i t. d.

W innych krajach wywołałoby to skandal i awantury rodzinne. W Anglji przechodzą nad tem do porządku dziennego. Czy jednak małżeństwa takie cieszyć się będą harmonją i jednością, to wielkie pytanie? Rdzennie - zasadniczo odmienne wychowania i moralna kultura, jako też nawyknienia i cały tryb bytu takich dwojga połączonych na życie ludzi, rzadko dają się zespolić i nagiąć do siebie. Po minionych chwilowych rozkoszach, przeważnie następuje w małżeństwach takich gwałtowny rozłam, wszystko rwie się na strzępy i każdy idzie w swoją drogę...



Rozwój akcji ratunkowej.

Przed kilku tygodniami, gdy się rozpoczęła akcja ratunkowa, mająca na celu przeciwdziałanie głodowi śród robotników łódzkich, pozbawionych pracy, zwróciliśmy uwagę na to, że ofiarność publiczna jest tylko środkiem doraźnym, że nie zapobiegnie ona wielkiej niedoli, jaka się obecnie rozpanoszyła wszechwładnie; że akcja stanie się w całem znaczeniu ratunkową, dopiero wtedy, gdy będzie się starała o zdobycie nowych warsztatów pracy dla tych, którzy stali się ofiarami przesilenia w przemyśle fabrycznym.

Jakoś obecnie stwierdzić musimy ten zwrot pomyślny. Niezależnie od zgromadzenia przeszło 50,000 rb. na zapomogi dla głodnych, komitet obywatelski rozwinął swe zabiegi w tym właśnie pożądanym i najracjonalniejszym kierunku. Dzięki głosom prasy i zabiegom komitetu obywatelskiego, na zebraniu radnych miejskich z udziałem prezesa chrześcijańskiego Towarzystwa dobroczynności, pastora Rudolfa Gundelacha i prezesa komitetu obywatelskiego, p. Daubego, poruszono sprawę rozpoczęcia robót miejskich w Łodzi, celem dostarczenia zarobków robotnikom, pozbawionym pracy w fabrykach miejscowych.

Ostatecznie uchwalono rozpoczęcie budowy kanałów, bruków oraz wytknięcie nowych ulic. Kosztorys tych wielkich robót obliczono na 100,000 rubli. Opracują go szczegółowo architekci miejscy. Co zaś do planu robót wykona go magistrat a nadto — da materjały i narzędzia niezbędne. Do obowiązku zaś komitetu obywatelskiego będzie należało dostarczenie robotników, zawieranie umów, wreszcie wypłacanie należności, które będą mu zwrócone z funduszów miejskich.

Ilu robotników otrzyma pracę przy tych robotach, dziś niepodobna określić. Wnosząc z sumy 100,000 rb., przewidzianej w kosztorysie, nie będą to roboty na wielką skalę. Budowa kanałów, to przecież nie kanalizacja, która będzie musiała jeszcze przejść długą fazę wstępną, mnóstwo ceremonji i wędrówek, wreszcie związana będzie ze zdobyciem odpowiednich kapitałów, które liczyć trzeba nie na dziesiątki tysięcy lecz na miljony. Budowa kanałów — jest to coś tymczasowego. Co zaś do bruków, są one w całej Łodzi w takim opłakanym stanie, że całkowita suma 100 tysięcy, przeznaczona na powyższe roboty, mogłaby wystarczyć zaledwie na naprawę lub zmianę bruków przynajmniej na ulicach najruchliwszych.

Tak więc roboty zaprojektowane będą zaledwie nieznaczną cząstką niezbędnych robót miejskich.

Pozostaje jeszcze jedna ważna kwestja: czas, w którym można będzie do owych robót przystąpić. Zważmy tylko: kosztorys robót mają opracować szczegółowo architekci miejscy. Tego się nie robi jednem pociągnięciem pióra lub ołówka. Jest to kwestja nietylko tygodni, ale miesięcy. A potem — inna procedura: wędrówka kosztorysu nad Newę, bo przecież miasto takich robót nie może przedsięwziąć samodzielnie. Ile czasu wymaga ta wędrówka, mogą nam powiedzieć liczne przykłady z dziejów wszelkich naszych zabiegów. Nie liczmy więc na to, że tak łatwo uchwalone roboty przyjdą łatwo i prędko do skutku. W najlepszym razie jest to kwestja kilku miesięcy. Można więc tylko to stwierdzić, że pod hasłem głodnych zapoczątkowano ważną sprawę, na której z czasem zyskają robotnicy i mieszkańcy miasta, że te zapoczątkowane roboty miejskie, celem dostarczenia zarobków robotnikom pozbawionym pracy, będą precedensem na przyszłość.

Jeżeli tedy wygłosiliśmy uwagi i zastrzeżenia pesymistyczne, to bynajmniej nie pod wpływem niewiary w samo zadanie, ale po to, iżby czujność publiczna w sprawie akcji ratunkowej nie usypiała. Akcja ta, z natury rzeczy i warunków naszych, musi być podzielona na kategorje: akcja natychmiastowa, pod postacią doraźnej ofiarności publicznej i akcja obliczona na dalszą przyszłość, jak organizacja robót miejskich i publicznych. Wreszcie powinna być jeszcze jedna kategorja, również obliczona na przyszłość: zabiegi prawodawcze w sprawie zabezpieczenia losu robotników, którzy się stali ofiarami przymusowego bezrobocia. Pożądane jest ubezpieczenie robotników na taki wypadek a więc opadatkowanie w tym celu przemysłowców dla gromadzenia funduszów.

Co do robót, musimy jeszcze zaznaczyć, że biuro wyszukiwania pracy przy Chrześcijańskiem Towarzystwie dobroczynności w Łodzi już w jesieni roku ubiegłego rozpoczęło budowę szosy z Aleksandrowa do Lutomierska. Roboty ziemne są już ukończone a na wiosnę będzie rozpoczęte sypanie szosy. Nadto, mają być prowadzone roboty ziemne przy zakładaniu nowych kabli dla sieci telefonów łódzkich.

Wreszcie skreślić musimy jeszcze jeden wynik akcji, do której w znacznej mierze przyczyniła się prasa. Oto administracja majątków w Kutnowskiem: Witaszewice, Witaszewiczki, i Orszewice zwróciła się do łódzkiego komitetu oby-

watelskiego z prośbą o dostarczenie 40 dziewcząt do robót polnych. Niewątpliwie za tym przykładem pójdą inni właściciele ziemscy. Można więc mieć nadzieję, że część robotników, pozbawionych pracy, znajdzie ją na roli.

Od samego początku istnienia Komitetu Obywatelskiego dała się zauważyć nieufność robotników, śród których rozeszła się pogłoska, że komitet ten segreguje głodnych w ten sposób, iż odmawia zapomogi tym, ktorzy stracili pracę w fabrykach skutkiem zatargów z majstrami lub zarobkodawcami. W tych dniach jednak w naradach Komitetu wziął udział przedstawiciel robotników, wybrany do b. kurji robotniczej podczas wyborów do 4-ej Dumy.

Zakomunikował on członkom Komitetu obywatelskiego owe uprzedzenia robotników i dzięki temu sprawę wyjaśniono. Okazało się, że przypuszczenia robotników były mylne. Dzięki więc wyjaśnieniu tej sprawy, uprzedzenie powinno zniknąć, co wpłynie bardzo dodatnio na pośrednictwo Komitetu w sprawie wyszukiwania pracy dla robotników głodnych.

Widzimy tedy, iż akcja ratunkowa rozwija się coraz szerzej i pomyślniej. Sięga ona także dalej, po za Łódź, gdyż przesilenie ekonomiczne rozlało się również szeroko. Tak więc w tych dniach odbyło się w Pabjanicach nadzwyczajne posiedzenie członków zarządu Chrześcijańskiego Towarzystwa dobroczynności z incjatywy prezesa tej instytucji, p. Endera. Stwierdzono iż w Pabjanicach pozostaje obecnie w nędzy 400 rodzin robotniczych, czyli licząc przeciętnie po czterech członków rodziny, mniej więcej 1600 ludzi głodnych (oczywiście tych tylko o których wiadomo). Postanowiono więc podjąć akcję ratunkową i powołać do współdziałania szerokie masy ludności, nie wyłączając robotników, pracujących w fabrykach. Komitet Pabjanicki czerpał doświadczenie z łódzkiego i dzięki temu uniknie tych przykrości i trudności co tamten. Postanowił on odrazu zaprosić delegatów robotników, którzy będą wspólnie pracowali w akcji ratunkowej.

Do komitetu weszło 15 osób, w tej liczbie trzech delegatów robotniczych z fabryk: Kindlera, Endera oraz z papierni.

Nie wątpimy, że cała ludność Pabjanicka poprze usilnie tę nową akcję, tak niezbędną w obecnej chwili ciężkiej.

Zenon Pietkiewicz.

Dzieje grzechu.

Zarzucano Żeromskiemu, że stworzył typ przesadzony, że skupił w jednej kobiecie wszystkie pierwiastki upadku, że poprowadził ją po pochyłości od wyżyn społecznych na niziny, bagniska najgłębsze, że to, co stanowi dzieje tysięcy kobiet z różnych sfer, kazał dźwigać na barkach jednej kobiecie, pochodzącej ze sfer inteligencji, ze sfer w znacznej mierze zabezpieczonych od staczania się w takiej spotęgowanej sile do odmętów zniepravienia i zbrodni.

Żeromski nie przesadził! Niemiłosierna rzeczywistość stwierdziła to w znacznej mierze na bruku łódzkim.

W tych dniach zmarła w 35-ym roku życia niejaka Zofja B., wykluczona ze społeczeństwa i wtrącona w męty życia, zwyczajna ulicznica, jak setki innych na tym samym bruku łódzkim. Ktoby pisał nekrolog kobiety upadłej?.. A jednak dzieje tej nieszczęsnej istoty były dziwne i niezwykłe.

Córka zamożnego obywatela z Podlasia, jedynaczka, pieszczona, kochana, otoczona zbytkiem i słońcem, ciesząca się sympatją ogólną, panna posażna, była przedmiotem marzeń i zabiegów różnych łowców posagowych i rybaków, czyhających z wędkami na serca młodociane.

Ale oto w 14-ym roku życia Zofja została się półsierotą. Umarła matka, a ojciec lekkoduch, hulaka, niezbyt się troszczył o wychowanie i losy jedynaczki. Chcąc się pozbyć ciężkich obowiązków wychowawcy, oddał córkę do klasztoru panien Urszulanek w Tarnowie. Ale i klasztor nie jest warownią bezpieczną dla dziewcząt. I tam się zdołał wcisnąć wytworny młodzieniec, który 17-letnie dziewczę namówił do ucieczki; wyjechał z nią do Paryża i poślubił ją. Ale gdy pobłażliwy dla siebie a surowy dla córki ojciec odmówił posagu i wyrzekł się jej, mąż sprzedał żonę francuzowi, który, objechawszy z nią bady i stolice Europy, sprzedał swą towarzyszkę uciech do domu publicznego w Bukareszcie. Stamtąd, jako żywy towar przeszła do Sofji poczem do Odesy, gdzie uzbierawszy trochę pieniędzy, sama się wykupiła z rąk „gospodyni" i wyjechała do Petersburga a następnie do Warszawy. Tracąc siły i wdzięki, powoli staczała się po szczeblach półświatka, aż wreszcie poniosła resztki starganego życia na bruk łódzki. Tutaj jako najniższego rzędu ulicznica, zakończyła życie w brudzie i nędzy.

Towar, zbutwiały, zużyty, pod postacią resztek życia obrał sobie to ognisko, gdzie wszelkie resztki mają odbyt. Łódź pochłonęła te resztki zszarganego życia, Łódź, która sama jest fabrykantką niezleżałego towaru żywego, która niejednokrotnie zaopatrywała już w ten produkt rynki świata; bo Łódź nietylko zaopatruje rynki świata w piękne nowe tkaniny, ale ściąga z całego świata gałgany i szmaty brudne, ażeby je następnie przerobić na piękne tanie tkaniny. Łódź posiada cudowną siłę przetwórczą. Odradza, przekształca, lub pogrąża. Łódź potrafi piękne tkaniny zamieniać na gałgany i gałgany przerabiać na tkaniny czyste i piękne. Łódź posiada czyste i piękne postacie, szanowane, a nikt się nie domyśli, że ich wnętrze duchowe — to brudne gałgany i szmaty. Łódź dlatego właśnie, między innemi, jest słynną z handlu żywym towarem w najróżnorodniejszych postaciach.

To wielkie zbiorowisko wszystkiego pogrzebało w tych dniach nową Ewę Pobratymską, a ile takich nieszczęsnych, które przeszły „niezwykłe koleje" kryje się w mrokach i mętach życia łódzkiego. Ile ofiar Łodzi kryje się w mętach rynków świata! Łódź jest wielka i sławna. Łódź jest grubo podkreślona na mapach geografji handlowej...

Heron.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

MARJA RODZIEWICZÓWNA.

8)

Czarny chleb.

— Ten drugi — ciężko doczekany chleb szmat później był. Matka pomarła—u mnie żonka trzeciego syna karmiła. Urodzaj tego roku był taki bogaty, że starzy ludzie takiego nie pamiętali. Po siewach już było jesienią — baby się lnem zabawiały.

Jednej nocy spałem mocno, bo po drwa jeździłem daleko i zmordowałem się — aż tu ktoś w szybę tłucze — coś woła. Schwyciłem się z ławy: — w oknie łuna — a na dworze już krzyczą: gwałt, gwałt — sioło gore. Porwała się żona, pobudziły się dzieci — wylecieliśmy na dwór — bosi w koszulach tylko — ehe — już sąsiada gumno się pali. Żona porwała poduszkę, kołyskę z dzieckiem, ja skoczyłem do chlewu, do bydła — a tu już nasza stodoła w ogniu. Wypuściłem byki — rozumne, a krowa od cielęcia ani rusz. Jeszczem czas miał to ciele wypchnąć i ją gwałtem, a ogień wpadł na strzechę, wicher wierzeje zatrzasnął — została jałowizna, owce, kobyła, źrebka dwuletnia— przepadły.

I takeśmy zostali — pięcioro dusz, bosych i gołych na tej pogorzeli.

— Nie dostaliście ubezpieczenia ogniowego?

— Dali trzydzieści rubli z gminy. Oj — panie — pieniądze ognia nie zapłacą. Pietnaście lat ja ten pożar odrabiał. Trza było byki i krowę sprzedać za byle co — kobieta się rozchorowała—dziecko zmarło, zimowaliśmy— jak bydło — w szopach u tych, co zostali, trza było żebrać, a najbardziej głodem przymierać.

Taki rok przebyć to jak innych dziesięć.

A i starego pana we dworze nie stało— pomarł — nie było do kogo po ratunek iść. Komisarz rządził za młodego, który nigdy nawet do tych majątków nie zaglądał. Poszli my do komisarza — ręce rozłożył: ja sługa — dostańcie od pana kwit — dam drzewa, zboża — sam nie mogę. A gdzie było szukać tego pana, po świecie. Doradził komisarz, żeby prośbę słać! Napisał pisarz — podpisał się kto umiał, a każdy za siebie krzyż postawił — i posłali. Czekaliśmy odpowiedzi, jak wiosny — ale i dotąd nie przyszła. To, panie, ten chleb — cośmy zebrali po tej nędzy — tom go jadł, i z radości łzy razem łykał, że już on mój, własny — nie kupny, nie proszony, nie wyżebrany. I znowu roki biegły. Chłopcy porośli — ciasno się zrobiło i w chacie i na polu — wzięła się swarka i w jakiejś bitce z sąsiadem, syn starszy, jego chłopca kijem po głowie zdzielił, że omal nie został na miejscu. Zrobiła się sprawa — miał chłopak mój na rok do więzienia iść — myślę — on młody — szkoda i strata — między aresztantami, aresztantem się zrobi— i niesława i zagubienie duszy. Więc jakoś świadków uprosiłem — na mnie donieśli — i poszedłem za syna na pokutę.

Oj, chleb tam panie gorzki i cuchnący— w gardło nie lezie, a nuda kości przejada. To jakem swój czas odbył — zdało się z piekła się wyrwał. Na jesieni puścili — ciemnym wieczorem do wioski doszedłem. Słucham, węszę, bo ćma była i deszczyk siekł. Słyszę ludzki gomon, i gęsi po chlewkach gęgają — studnie skrzypią — po chatach się świeci, dym czuć — i chleb świeży. Zradniałem jakby dziesięć lat kto z pleców zdjął— wchodzę do izby — witają radzi — i dzieci i wnuki malutkie. A na stole — bochny leżą — tylko co synowa z pieca wyjęła — jeszcze ciepłe, pachnące: — wielkie bochny na klonowych liściach.

Zrzuciłem w sieni turmą cuchnące łachy— zasiadłem do wieczerzy — i to był taki znowu pamiętny chleb — panie — na cudo smaczny.

(d. c. n.)

TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

5)

BOHATER.

POWIEŚĆ.

Dreszcz zimny przebiegł jej dziewicze ciało, a potem dziwne gorąco uderzyło do głowy. Zjawiło się przemocne pragnienie czegoś, coby ją z sytuacji obecnej wywiodło natychmiast — pragnienie, ratunku, ocalenia.

— Przebóg żywy, coś czynić musimy!

Stanęła w saniach i zaczęła nasłuchiwać. Istotnie zgiełk czynił się coraz bardziej wyraźny. Wbiła wzrok w stronę, skąd odgłosy dochodziły i zdało jej się, że poprzez gęstą zasłonę śnieżycy, dojrzała nikły blask ognia. Rzekłbyś w ciężką szarą draperję wprawiono oczko opalowe.

Nie to już nie złudzenie. Oczko miga wyraźnie na tem samem miejscu mleczno-różowymi ogniami. Niebawem wykwita obok podobne drugie oczko!

Ogniska!

— Marcinie, zawołała, wyciągając w kierunku opalowych błysków rękę, Marcinie, jedź wprost na te ognie. Ludzie tam być muszą.

— Proszę jaśnie panienki, — odparł chłop—inszym razem od ludzi lepiej zdaleka. Kto ich tam zgadnie co za jedne.

— Jedź, słyszysz.

Ledwie jednak konie ruszyły padł strzał. Po chwili rozległa się wcale żwawa kanonada broni ręcznej, a wraz, jak huragan, przeleciało tuż obok sani kilkunastu jeźdźców.

Biegli tak blizko, że Krystyna, wprawdzie dojrzeć nie mogła postaci, ale najwyraźniej słyszała przyspieszone, świszczące oddechy piersi ludzkich i dudnienie wnętrzności, pędzących w szalonym galopie, koni.

Drżącą dłonią odwiodła szybko kurek pistoletu i czekała w obronnej postawie.

Ale wnet ucichło. Było to jakby złudne mignięcie się jakiegoś zjawiska niepojętego. Śnieg stłumił odgłosy galopu. Wszystko utonęło nagle i odrazu, jakby w miękkim puchu, w ciszy zasypanych tumanami przestworzy.

— Co to było?

Marcin odwrócił się i szeptem, pełen przerażenia, rzucił.

— Wiem ja to? Musi oman...

W tej chwili z przestrzeni, z bardzo niedalekiej odległości doleciały nawoływania.

— Panie poruczniku, panie poruczniku!

— Wachmistrz, to ty?

— Ja, Wasza Mość! A to się psubratom zachciało w taką zawieruchę porządnym żołnierzom na biwaku w kotły zaglądać.

— Chcieli nas wziąć w kurzawie, jak kota w worku.

— Ale, niedoczekanie psich synów. Sami wzięli po kłębie, jak się patrzy.

W innej stronie, nieco dalej ktoś wołał:

— Przebendowski, Przebendowski, hop, hop!

Indziej znowu.

— Sobczak, bywaj!

— Machalski, Koziołek, Maciek...!

Zwołują się.

— Nasi, szepnął Marcin.

— Nasi, powtórzyła panna Krystyna i otucha wstąpiła w jej serce. Stojąc w saniach, wzniosła się jeszcze na palce i z całych sił w piersiach rzuciła w ciemność nocy wołanie:

— Hop, hop! Na pomoc!

III.

Pomimo, prószącego ustawicznie, śniegu ogniska płonęły rzęsiście. Żywioły zmagały się ze sobą gwałtownie, ale mocny, obficie suchemi podsycany szczapami, płomień stanowczą brał przewagę nad śnieżycą.

Żołnierz w powrocie z pod Moskwy nauczył się rozniecać ogniska w warunkach najmniej po temu przyjaznych. Coprawda od strony wiatru stała tam duża szopa, co w znacznej mierze hamowało gwałtowność zamieci, nie mniej przecież od czasu do czasu sypnęło na ogień gęstszym tumanem śniegu, że płomień syczał, jakby z bólu, kurczył się, malał i omdlewał.

— Nie daj się, nie daj się — wołali zebrani dokoła żołnierze.

Jakoż, jakby pod wpływem tej podniety żołnierskiej, ogień brał się mocniej z wrogiem za bary. Natężał siły. Po chwili żar rozpalonych głowni pochłaniał szybko wilgoć i płomienie wybuchały jasnym, radosnym tryumfem zwycięstwa.

— A, a! — rozbrzmiewało ochoczo wśród tłumu wynędzniałych postaci. — Górą ogieniaszek!

Drugie ognisko, gdzie zebrała się starszyzna, jeszcze lepiej było od dokuczliwego natręctwa śniegu zabezpieczone. Rozłożone na środku zagrody, od strony wiatru miało duże domostwo leśnika, a za sobą pnie starych dębów, między którymi rozciągnięto derki i płaszcze. Zawieszono też nieco łachmanów jakichś na rozłożystych ich konarach, że utworzył się, niby dach namiotu, zapewne pełen dziur i szczelin, ale, bądź co bądź, stanowiący niejaką ochronę od zbyt obfitych opadów śniegowych.

Płonęło też tu równiej i jaskrawiej.

Kołem siedzieli w kucki, skuleni, zawinięci w płaszcze i futra najdziwaczniejszego kroju oficerowie różnej broni. Przed ogniskiem stał kapitan kirasjerów Małachowskiego w pełnym rynsztunku, bo i hełm z końskim ogonem miał na głowie i na ramionach płaszcz biały, wprawdzie postrzępiony straszliwie i podziurawiony, ale swój własny, mundurowy.

Przez dziury tego płaszcza widać było zielony aksamit jakiejś szuby bojarskiej, czy kupieckiej. Chłop był jak dąb—ogromny, rozrośnięty, barczysty. Stał rozkraczony, niby kolos rodyjski, i polanem mieszał, w wiszącym nad ogniem, kotle.

Uczta to miała być nielada, bo już nie koninę zdechłą prażono, ale tłustą jałoszkę udało się na rosół zadobyć. I nie prochem, jak bywało, zupę przyprawiać będą, lecz soli uczciwej sporo dostali i na zasypanie rosołu kaszy jęczmiennej, którą tu lud w stępach tłucze, chłopi okoliczni do obozu nawieźli.

Nie wiele brakowało, a jużby im kozacy smaczną, a zakaty, straszliwie upragnioną wieczerzę niegrzecznie przerwali.

Żeby ich pokręciło.

Uprzykrzone to tałałajstwo kręci się ustawicznie koło szczątków armji, szarpiąc wojsko na postojach i biwakach. Wśród nieznośnych plag odwrotu, wśród mrozu, śniegu, głodu, chorób i wyczerpania, psubraty te, co niby roje komarów, brzęczą ci ciągle nad uchem, do najmilszych przyjemności nie należą.

(d. c. n.)

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

54)

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

Śpiew... śmiech — —

Rozhulany korowód szerokie zataczał koło i wężem się wijąc znikał za murami zamczyska.

Teraz czas, na niego czas!...

Wraził w brzuch ostrogę koniowi i pomknął ku furcie, wskazanej mu niegdyś przez Przemka.

Korowód zatoczył się w stronę zamku, gdzie skały rodzime przepastną piętrzyły się ścianą. Śmielej teraz zadzwonił śmiech, śmielej śpiew zabrzmiał. Tu już wzrok żaden nie dostrzeże pląśnic, niczyje ucho pieśni nie uchwyci; srebrzyste dźwięki rozbiją się o mury, nie złowi ich echo, w dal nie uniesie.

Jasieniec dopadł do furty, ukrył konia w krzewach leszczynowych, a sam z drżeniem serca i dreszczem ciała, skoczył pod ciemne sklepienia kurytarzy.

W tej chwili dał się słyszeć szmer, szmer wiatru, poruszającego trzciny nadbrzeżne... Zamigotało słabe światełko kaganka, z mroku wychynęła się postać Perełki i skoczyła do Jasieńca...

— A — jesteś!... odetchnął rycerz...

— Pst!... pst... szepnęła Perełka — bo zaraz wedle babińca iść nam trzeba będzie. Pusto tam — to prawda!... ostała jeno sama pani ochmistrzyni, ale nadzieję mam, że po litanjach do Wszystkich Świętych w głowie się jej zamąciło i śpi twardo!.. Zawszeć na baczeniu się mieć trzeba, bo może tylko na litanji do Trójcy Przenajświętszej skończyła i zużyła zamało wody jordanowej... Za mną, panie rycerzu — za mną idź!...

Jasieniec nic nie wiedział o wodzie jordanowej, ale trajkotanie Perełki, jej wesołość i śmiech srebrzysty, dobrą natchnęły go otuchą.

Posunął się za idącą — —

Idą cicho — idą pośpiesznie... Zaledwie słychać szmer kroków i przyśpieszony oddech piersi Jasieńca. Perełka przestała trajkotać, tylko mijając drzwi pokoju pani ochmistrzyni, palcem na nie wskazała i zachichotała srebrzyście. W zamku panowało grobowe milczenie... Dwór spał; z zewnętrznego świata nie dolatywał szmer żaden, ni

śpiewy dziewcząt, pląsających na dolinie, ni głosy rozmów z pana wojewody komnaty. Skręcili na lewo... i przeszli kroków kilkanaście jeszcze. Nagle Perełka zatrzymała się u drzwi lekko uchylonych i podnosząc kaganek do góry — szepnęła:

— Tutaj!..

. . . .

Przemko nie opuszczał pana wojewody. Szalony miotał nim niepokój. Wiedział że zamek usnął, że furta stoi otworem, że zbliża się chwila tańców ponocnych i kołatanie się Jasieńca w ciemnych zakrętach nieznanego mu korytarza. Przewodniczką rycerza Perełka być miała. Liczył na nią, wierzył, że wszystko wykona wedle nakreślonego już planu. Gdyby wojewoda do snu się ułożył, skoczyłby sam na spotkanie Jasieńca i przynaglił do pośpiechu. Obawiał się długich powitań kochanków po latach niewidzenia, tych chwil słodkich, w których zatrzymuje się czas i plącze wypadki. Ale pan wojewoda o śnie nie myśli. Poważny, ze wzrokiem utkwionym w mieniącą się twarz pacholęcia, siedzi w głębokiem krześle oczekując zapowiedzianego przybycia księdza plebana. Ten wzrok, to oczekiwanie szalonym go dręczą niepokojem. Bał się opuścić starego pana, na korytarze wyjść, by jakim ruchem nieopatrznym nie zdradzić tajemnicy, choć ten niepokój właśnie, ten lęk, źle ukrywany, trwoga malująca się w oczach, kłótnia gorączkowych rumieńców z bladością, zjawiającą się nagle i wzrok mętny, unikający spojrzeń starego pana — jakieś dziwne myśli nasuwały patrzącemu nań wojewodzie. Przemkowi się zdawało, że się zmienił w księgę otwartą, z której pan Włodek odczytuje wiersz po wierszu wyraz po wyrazie, ze zgrozą i przerażeniem odczytuje. Ostatnim woli wysiłkiem starał się zachować spokój i równowagę zmysłów: męczyło go milczenie wojewody i to wpatrywanie się uparte. Miał przyjść ksiądz pleban, z nim jakaś chwila uroczysta nadejść miała, coś, czego nie rozumiał, a co wisiało w powietrzu.

Cicho piasek przesypywał się w klepsydrze, cicho mijały godziny. Wreszcie dało się słyszeć głuche uderzenie kołatki i — po chwili oczekiwania—ksiądz nadszedł. Przemko chciał skorzystać z przybycia proboszcza i ujść im z przed oczu, ale ruch ten zrozumiał pan wojewoda i odezwał się:

— Zostań, chłopcze!.. Z przybyciem księdza dobrodzieja ważna nadeszła chwila dla mnie i dla ciebie!..

Przemko zatrzymał się — dech w jego piersi się zaparł — —

Chwila?.. jaka chwila?..

Ksiądz pocałował w czoło młodzieńca, uśmiechnął się dobrotliwie i usiadł przy wojewodzie. Jak na węglach rozżarzonych Przemko stanął przed nimi.

— Zbierz rozproszone myśli chłopcze!.. mam ci wielkiej wagi pytań kilka rzucić — zaczął wojewoda.

— Sługa miłości waszej—szepnął Przemko, a w oczach jego odmalował się przestrach.

— Czego się lękasz, kochanku? odezwał się ksiądz pleban — — Niepokoi ciebie poważny nastrój chwili — a on słodycz ci niesie i ściele bity gościniec przyszłości twojej. (d. c. n.)

RADOŚCI ŻYCIA.

TOWARZYSTWO.

Już zima. Elegancki świat uruchomiony.
Zaczęła się już „czarna kawa" towarzyska.
Śmietanka się warszawska do niej zbiera
[wszystka.
O jakże są rozkoszne nasze reuniony!

Wesołość, humor, dowcip kaskadami tryska.
Tamten ktoś zrobił plamę, ten został splamiony...
Kłują, dziobią i szarpią, jak padlinę wrony.
Z bliźniego nie zostaje nic, oprócz ogryzka.

O ty, miła Warszawo, ile w tobie waru,
Ile duszy i serca i uczuć towaru!
Jakież w tobie jest zawsze zabaw pogotowie!

Ile cię trzeba cenić ten się tylko dowie,
Czyja dusza, jak moja, wdziewa kiry wdowie
Po twoich jour'ach fix'ach (za wyjątkiem paru).

JAN LEMAŃSKI.

J. MACIEJOWSKI.

NIEWOLNIK.

Obrazek z życia obłąkanych.

(Dokończenie).

— A, a... czy jego kochanka pozwoli na jego morderstwo. Czy potrafisz przekonać ją, śmierć, o jego zbyteczności na świecie — zapytał starzec z całą powagą. Młodzieniec zamyślił się.

— Przecież to takie proste. Człowiek może umrzeć bez niego. Pójdzie w zaświaty tak szczęśliwy, jakim tu będzie. Skończy swą doczesną wędrówkę, gdy nadejdzie czas i skona bez cierpień. Dlaczego nie miałaby się zgodzić?

— Idź, idź zapytaj, poszukaj jej i zapytaj.

— Najprzód pójdę tam, za ten las i wykopię mu grób.

Obejrzał się szybko wokoło. To samo jednocześnie uczynił starzec. Obaj drgnęli, wydali straszny rozpaczliwy krzyk i rzucili się w zarośla. Biegli parę sekund, a potem zaczęli kryć się poza grubsze pnie. Obaj z szaloną zwinnością przebiegali od drzewa do drzewa, od krzewu do krzewu i wciąż, wciąż rozglądali się wokoło, nie zważając na drugich obłąkańców, i na stróżów, którzy zaczęli im się bacznie przyglądać.

— Hej, wy tam, Łukawski, Swirski — uspokoić się, bo do celi! — zawołał najbliższy nich dozorca, ujrzawszy jak starzec z młodzieńcem uciekali i kryli się za drzewa.

— Słyszysz, woła na nas.

— Słyszę — tak, to on. Mówiliśmy za głośno. Przyszedł. Widziałem jego ohydną twarz. Zjawiła się naraz wśród drzew, tuż koło nas.

— Widziałem, widziałem. A teraz woła nas.

Drżeli od lęku, patrząc z przerażeniem w zarośla.

— Może słyszał spisek cały — szepnął Swirski i szczupłą swą postać skulił, oglądając drzewo, po za którem mógłby się skryć.

— Napewno — rzekł Łukawski.

— Teraz pójdzie do śmierci i powie o wszystkiem. Gotowi nas zamordować obydwuch.

— Hu, hu — zabić, zamordować — nie, ja chcę żyć — dziko zamamrotał starzec. Wyprostował swoją postać, ręce zacisnął w pięści.

— Niech przyjdzie, niech nadejdzie, zmiażdżę, zatłukę ja, ja go pierwszy zamorduję — szeptał z pasją i deptał wyschłą, igłami żółtemi pokrytą ziemię.

— Hej, wy tam, wyjdźcie z poza tych drzew — rozkazująco zawołał znów dozorca i podchodził zwolna ku obydwom.

Stary Łukawski i jego przyjaciel spostrzegłszy dozorcę w towarzystwie drugiego uspokoili się odrazu. Wiedzieli że mają ich zamknąć w celi i trzymać do następnego dnia, jako rozdrażnionych nadto. Wyszli z poza drzew, lękliwie rozglądając się dokoła.

— A może nie słyszał — rzekł Swirski, nachylając się ku Łukawskiemu. — Pójdę mu kopać grób. Chodź ze mną — o tam — za ten gąszcz — wskazał na młode gęste olchy.

— Chodźmy — powiedział Łukawski — nie widzę go. A zresztą niech wie, niech wie, że my go nie chcemy, że go nienawidzimy, że będzie zamordowany.

Spokojnie obaj poszli w głąb lasu.

Co chwila oglądali się za dozorcami, którzy, popatrzywszy przez moment na idących wolno, przytomnie, zaniechali nawoływań i pozostali z innymi chorymi.

Łukawski i Swirski przyspieszyli wówczas kroku. Wnet skryli się w głębi leśnej, zajęci jedną myślą — kopaniem grobu.

Podobał im się rozłożysty krzak jałowcu, od którego w półkole rosły inne, mniejsze. Zdecydowali to miejsce.

— Jałowiec zakryje mogiłkę. Hehehe — zakryje. Ziemię zrównamy, że ani śladu nie będzie — a teraz do roboty. Wynaleźli w pobliżu dwa płaskie kawałki drzewa, jeden o drugi wyostrzyli i w milczeniu zabrali się do kopania grobu.

— Musi być duża jama, bo i on jest duży, wielki — powiedział Łukawski.

— Zmieści się w niewielki, długi rów. Przecież widziałem go — jest długi, wązki, a głowę ma zato jak dziesięć ludzkich. Kopmy, kopmy.

Chwilę kopali w milczeniu. Jałowce osłaniały ich, jałowce i zarośla olchowe, że nikt nie widział i nie przeszkadzał robocie. Rów szybko zwiększał się, zwiększał, a w miarę tego wyjaśniała twarz Swirskiego i starca.

— A teraz idź starcze do śmierci. Łukawski, idź do śmierci, powiedz... Nie skończył, bo Łukawski spojrzał obłędnie, przerażająco i ukazał w zarośla.

— Jest! Jest! Trzymaj, chwytaj — — jest— szeptał, skradając się na czworakach i pociągając przykładem Swirskiego.

— Aha, tak — tam — widziałem. Zadusimy, zadusimy i tu przyniesiemy.

Drżąc z przerażenia pełzli jeden za drugim, to czołgali się dość długo, aż raptem stary Łukawski rzucił się z wściekłą pasją na niewielki stary zmurszały sterczący pień młodej olchy. Dopadł go wraz ze Swirskim, w mgnieniu oka wyrwał z korzeniem, rzucił o ziemię; począł deptać, gdy Swirski padł i łamał jeden koniec, przeklinając, złorzecząc i bijąc pięściami.

Łamali suchy pień, wydzierali korzenie, ranili sobie ręce — zaciekli, zapamiętali, nieprzytomni. Ciężko dysząc, zmęczeni wreszcie, rozgrzani walką z fikcyjnym nieprzyjacielem, pewni, że pokonali go, podnieśli z ziemi kawałki wszystkie i tryumfalnie ponieśli ku wykopanemu dołowi.

— Skończyło się twoje panowanie — mówił Łukawski — skończyło.

— Pokonaliśmy cię nareszcie — ściskał kawałki Swirski.

Dopadli do rowu. Na twarzach malowała się radość, oczy tchnęły niewypowiedzianem szczęściem, kiedy przysypali wrzucony pień i bez wytchnienia poczęli deptać dół.

Zrazu oddzielnie w jednem miejscu deptali ziemię, później ujęli się za ręce i rozpoczęli jakiś obłąkańczy taniec.

To kurczyli, to prostowali postacie, przysiadali do ziemi, to podskakiwali, zalewając się śmiechem, aż huczał po lesie dziki, wzdrygający, bolesny.

— Niema go, niema, niema...

— Zginął, śmierć tylko została...

— Wieczne szczęście będzie z nami...

— Wieczna radość zapanuje...

Długi włos rozwiał się Łukawskiemu, ceglastym rumieńcem pokryła się twarz, wzrok pełgał szaleńczo, gdy patrzył na Swirskiego, który powtarzał wciąż — niema, niema bólu, śmierć bez kochanka została.

Raptem jakby wrośli w ziemię. Ujrzeli kawałek pieńka, który wydobył się z pod ich nóg. Obaj jednocześnie z krzykiem skoczyli w zarośla.

— Żyje, jest, wyszedł, żyje, jest, będzie...

Pędzili, gnani strachem w stronę murów szpitalnych.

— Żyje, jest, wyszedł — — jest — będzie wiecznie — ból, ból—uciekajmy, śmierć, smierć nas goni, ból goni.

Uderzali się o pnie, potrącali o drzewa, wobec chorych i dozorców, którzy rzucili się w pogoń za nimi, przeklinając szaleńców. Żyje, jest, będzie wiecznie — jęli powtarzać między sobą obłąkańcy. Gdzieś zdala grupka chorych wybuchnęła niepojętym śmiechem — Wszystkich ogarnął niepokój.

W lesie zapanowała niebawem cisza. Ale zdało się, że przyczaił się gdzieś w powietrzu, okropny, ścinający krew w żyłach, krzyk przerażenia:

— Ból! Wiecznie trwający ból!

Z CYKLU „MIASTO".

KAWIARNIA.

Czarna kawa ma dzisiaj dziwny smak gorz-
[kawy
I muzyka tak smutno gra cygańskie pieśnie...
Rozpływają się kształty mgliste, jakby we śnie
Bajecznych mórz, przez które płyną srebrne
[nawy.

Chylą się czoła troską zorane przedwcześnie,
Chylą się zadumane nad życiem, co krwawy
Płaszcz zwątpień narzuciło na ułudne zjawy.
...Że wszystko mija — jakże pamiętać boleśnie!

Gwar rozmów. Chorobliwie, gorączka nerwowa
Rozszerza oczy długiem patrzeniem zmęczone,
Kobietom zasłuchanym w adonisów słowa...

A za oknem kawiarni, miasto splugawione
Beztreścią swoich dzieci—dzień jutrzejszy kowa,
Gdy gasną lamp łukowych węgle rozpalone.

J. APPENSZLAK.



KAROL MUUSSMANN

DWIE MATKI.

(Z norweskiego).

— Czy nic tu niema ciekawego, żadnej osobliwości? — Temi słowy podróżny, przejeżdżający przez miasteczko i zniewolony do dwugodzinnego czekania na pociąg, zwrócił się do staruszka, siedzącego u furty cmentarnej.

— Zdaje się, że nie, — odrzekł staruszek.— Tam, pod mogiłą, pokrytą świeżą darniną, spoczywa porucznik, ofiara ostatniej wojny. Jest to prawdopodobnie, jedyny z mieszkańców tutejszych, który ziemską wędrówkę w inny zakończył sposób, aniżeli jego współobywatele.

— Każdy cmentarz przecież posiada jakąś osobliwość, łączącą się z podaniem, historją, bajką wreszcie, w której ktoś z możnych tego świata wybitną odgrywa rolę.

— Może tamta mogiła zainteresuje pana,— rzekł uprzejmy dozorca, wskazując grób, otoczony nizkim płotem.

Podróżny przybliżył się.

Tuż przy kaplicy, w pośrodku dwuch grobów, niczem od siebie się nie różniących, widniała skromna tablica z białego marmuru. Obie mogiły były pokryte gęsto rosnącym bluszczem; na każdej zasadzono krzak białych róż.

Przybysz z zaciekawieniem przeczytał napis na tablicy, spojrzał na dozorcę i rzekł:

— Napis w samej rzeczy niezrozumiały. Czy mógłbyś pan mi objaśnić jego znaczenie?—

— O, to długa historja — odparł staruszek, widocznie zadowolony z ciekawości obcego gościa, — jeżeli jednak pan zechcesz jej posłuchać, to z miłą opowiem ją chęcią.

Usiadł na małej, zielonej ławeczce, uprzejmym ruchem zapraszając podróżnego, by zajął miejsce obok niego.

— Człowiek który postawił ten pomnik, — począł opowiadać, — był jednym z najserdeczniejszych moich przyjaciół. Rodzice odumarli go w dzieciństwie. Mieszkał z dwiema staremi ciotkami, w mieścinie naszej, w domku małym, ale milutkim. Posiadłość ta jakkolwiek nieobszerna, była jedną z najładniejszych na całem wybrzeżu. Drzwi i okna oplecione bluszczem, zdaleka wytworną błyszczały czystością.

I wewnątrz domku, w małych nizkich pokoikach taka sama panowała czystość; my chłopcy, przywykli do głośnych zabaw w ogrodzie

i na wybrzeżu, stawaliśmy się cisi i łagodni, wchodząc do tego przybytku pokoju i zgody niczem niezamąconej.

Wszystko się tam znajdowało w porządku wzorowym. Meble stały zawsze na tem samem miejscu; nogi stołów i krzeseł były otoczone listwami, by nikt obcy z miejsca ich ruszyć, i tem samem w całości obrazu zmiany zaprowadzić nie mógł. A w pośrodku wszystkich tych drobiazgów i figielków krzątały się zawsze zajęte, obie panny, Beck. Były one obie bardzo małego wzrostu, na głowie nosiły czepeczki, śnieżnej białości. Zawsze uśmiechnięte, nie przemawiały do siebie inaczej jak: „Kochanie moje"! Codzień na „dobranoc" lub „dzień dobry" całowały się, i prawą dłonią wzajemnie głaskały się po twarzy.

Chłopak stanowił przedmiot ich dumy. Obie panie kochały go równie gorąco. W niedzielę gdy szli do kościoła, prowadził pod rękę obie, jednakowo ubrane siostry.

Tak ci troje cicho i spokojnie pędzili wspólne życie.

Gdy chłopak ukończył szkołę, oddano go na naukę do ogrodnika. Niezadługo założył sobie zakład ogrodniczy w sąsiedniem mieście.

Żadnej niedzieli jednak, nie ominął, by jej nie spędzić w towarzystwie starych, tak samo jak i dawniej ubóstwiających go ciotek.

Panny Beck, niestety! bardzo się zestarzały, i coraz ciężej się opierając na ramieniu dorodnego młodzieńca, spoglądały na niego z dumą i podziwem, smutnie zarazem kiwając głową.

Wtem wybuchła w miasteczku epidemja cholery. Przybrała ona rozmiary zastraszające i pochłonęła ogromną liczbę ofiar. Zawitała też do cichego domku na wybrzeżu. W jednej nocy obie stare panny umarły. Siostrzeniec, przybywszy, ujrzał już tylko zimne, zesztywniałe ich zwłoki.

Ciotki pozostawiły mu domostwo wraz z gruntem i nieco gotówki. Testament, opatrzony podpisem obu pań, brzmiał:

„My niżej podpisane, oświadczamy niniejszem, jako jest ostatnia nasza wola, aby syn nasz i t. d...

Obok testamentu były załączone dwie kartki równobrzmiące: „Bywaj zdrów, mój synu! Twoja matka".

Na każdej kartce widniał podpis jednej z ciotek.

Która więc z nich była jego matką? A może żadna?

Długo, długo młody ogrodnik męczył się, zadając sobie powyższe pytanie.

Od najwcześniejszego dzieciństwa opowiadano mu, że jest sierotą, że matka jego była siostrą panien Beck, które przyjąwszy go za syna, dały mu też nazwisko swoje. W jednym z pokojów małego domku obraz jego ojca wisiał na ścianie. Był to smukły, młody mężczyzna w mundurze oficera. Kochający siostrzeniec nie mógł przedstawić sobie, by staruszki powiedziały mu cośkolwiek co byłoby niezgodne z prawdą. Do aktu chrztu swego nie zajrzał ani razu; gdy okazała się potrzeba złożenia tego aktu, ciotki załatwiały wszystkie formalności, by mu zaoszczędzić trudu i straty czasu.

Pragnąc gorąco wyświetlenia tej sprawy, młody ogrodnik udał się do proboszcza miejscowego. Starzec wysłuchał jego opowiadania z cichym uśmiechem.

— Kochany panie — rzekł, gdy młodzieniec zamilkł, — która z pań była właściwie matką pańską, tego ci powiedzieć nie mogę. Obie siostry nierozerwalną tworzyły jedność. Przypominam sobie, że przed laty, gdy sprowadziły się do naszego miasta i kupiły domek na wybrzeżu, różne o nich krążyły wieści. Posiadały one nieco pieniędzy, i po śmierci rodziców, jako młode jeszcze panny, mieszkały razem w mieście sąsiedniem. Pewnego dnia jednak rozeszły się; jedna z nich bowiem zaręczyła się z młodym porucznikiem, druga zaś pozostała sama jedna ze smutkiem w duszy. Samotność jej niedługo miała potrwać. Porucznik, podawszy się do dymisji, opuścił kraj, a biedna ofiara łatwowierności swej powróciła do siostry, która ją przyjęła bez słowa wyrzutu ze szczerą natomiast radością.

Po niejakim czasie obie panny opuściły miejsce dotychczasowego zamieszkania, i wraz z dziecięciem nowonarodzonem osiedliły się w naszem mieście.

Pewnego dnia obie bardzo do siebie podobne i zupełnie równo ubrane panny przyszły do mnie, prosząc bym ochrzcił dziecko. W kościele jedna z nich nosiła na ręku dziecko, druga trzymała czepek. Która z nich zapisaną została za matkę, tego nie wiem. Były tak podobne do siebie, że jednej od drugiej w żaden sposób rozróżnić nie mogłem. Na to pytanie jednak księga kościelna udzieli nam odpowiedzi.

Przy tych słowach proboszcz sięgnął po księgę kościelną. Otworzywszy ją, rzekł:

— Tu zapisane imiona: Joanna Marja Beck No, to teraz wiesz pan już chyba, czego się trzymać?

— Nie, jedna ciotka nazywała się Joanną, druga Marją.

Proboszcz głęboko się zamyślił.

— Zdaje mi się, mój przyjacielu, — począł po chwili, - że powinieneś zaniechać dalszych badań w tej sprawie. Widocznie obie staruszki postanowiły pozostawić pana w niepewności, a wobec tego co dla ciebie uczyniły, milczące uszanowanie ostatniej ich woli jest świętym twym obowiązkiem.

Życie obu było ciągłem wzajemnem poświęcaniem się. Dowodem tego ich wola ostatnia. Ludzie zwykle spoglądają z lekceważeniem na kobiety upadłe. Staruszki znały świat i wiedziały o tem. Kochały się nadewszystko, a ta, która pozostała niewinną, nie chciała by syn jej siostry myślał o swej matce z cichym wyrzutem. Tak jak obecnie przedstawiają się rzeczy, żaden cień nie zaciemnia pamięci matki pańskiej. Pan w obu kobietach powinneś widzieć tylko pełną

poświęcenia siostrę i matkę kochającą, a z biegiem czasu we wspomnieniu twem obie postacie zleją się w jedną.

Mało ludzi posiada tak piękne wspomnienia młodości. Nie czyń pan nic, coby je zburzyć mogło.

Młody ogrodnik posłuchał rady proboszcza, a pragnąc uczcić pamięć kobiet, których treścią życia była miłość i poświęcenie, wzniósł na ich grobie pomnik z tym napisem:

> Tu spoczywa droga moja matka
> pełna poświęcenia
> siostra mojej matki
> JOANNA MARJA BECK.

— Otóż to i cała historja, — dokończył staruszek. — Teraz jednak musisz się pan pośpieszyć by nie spóźnić na pociąg.

— Dziękuję panu za skrócenie mi czasu i za zajmującą opowieść. Widocznie jesteś pan dokładnie obeznany ze stosunkami interesującej rodziny. Nie chciałbyś mi wymienić nazwiska ogrodnika owego? Może go znam.

— Dlaczego nie?—odrzekł ogrodnik.—W moim wieku człowiek chętnie gawędzi. A jeżeli trochę długa opowieść może znudziła pana, to łatwiej wybaczysz staremu gawędziarstwo, gdy spełni on twe życzenie. Ogrodnik, który pomnik ten postawił, to ja.

Podróżny podziękował staruszkowi i udał się w dalszą drogę.

Ogrodnik zaś długo jeszcze nie opuszczał cmentarza. Pogrążony w zadumie został na ławeczce; głowę oparł na dłoni, wzrok jego nieruchomy utkwiony był w przestrzeni, a myśli pełne czci i wdzięczności, krążyły naokoło postaci ukochanej matki, i szlachetnej siostry swej matki.

Przełożyła

Malwina B.

MIGUEL DE CERVANTES SAAVEDRA.

3)

Zazdrosny Estremadurczyk.

(Z hiszpańskiego przełożył Zdzisław M.)

Z nietłumaczonych dotychczas utworów Cervantesa.

— To też piję umiarkowanie — rzekł murzyn. — Mam tu dzban, w którym mieści się nieco więcej nad dwie kwarty, a który mi niewolnice, bez wiedzy mego pana, codzień winem napełniają; prócz tego podstoli przynosi mi codzień butelkę, która również dwie kwarty wina zawiera, abym przy jej pomocy mógł luki w dzbanie wypełnić.

— Oby mi się tak na świecie dobrze działo, — wtrącił Loaysa, — jak mi do smaku przypadają te zwyczaje, gdyż zaiste, z suchej gardzieli głosu nie dobędziesz.

— Idź więc z Bogiem — rzekł Ludwik, — ale zanim przyniesiesz mi wszystko, czego trzeba abyś mógł do mnie się dostać, nie zapominaj przychodzić tu co wieczór i śpiewać mi pode drzwiami, gdyż umieram z niecierpliwości, myśląc o chwili, kiedy sam gitarę będę trzymał w ręku.

— Rzecz oczywista, że nie omieszkam — odparł Loaysa, — a nawet nowe przyniosę piosenki.

— Bardzo o to proszę, — rzekł Ludwik; — a teraz nie zapomnij coś zaśpiewać, abym z rozkoszą do snu się ułożył; zaś co do zapłaty, wiedz, mości nędzarzu, że wynagrodzę cię lepiej niż bogacz jakiś.

— Na to nie zważam, — odparł Loaysa; — ile warta będzie moja nauka, taką odbiorę zapłatę. Posłuchaj tymczasem tej piosenki, a kiedy będę przy tobie, istne cuda zobaczysz.

— Już teraz samą myślą się raduję, — rzekł murzyn.

Temi słowy zakończyli swą długą rozmowę, poczem Loaysa zaśpiewał dowcipne a skoczne romanse, które w taki zachwyt wprawiły murzyna, że liczyć począł godziny, które pozostawały mu do chwili, kiedy miał drzwi otworzyć.

Loaysa, ledwo o kilka kroków od domu się oddalił, żwawiej niżby się tego, wnosząc z kul, na których był wsparty, spodziewać było można, pobiegł zdać sprawę swym doradcom ze szczęśliwego początku i z dobrych nadziei, jakie na przyszłość rokował. Odnalazłszy swych przyjaciół, opowiedział im, jaka umowa zawarta została między nim a murzynem, nazajutrz zaś wyszukali narzędzia, tak doskonałe, że posługując się niemi można było ciąć gwoździe jak drzazgi.

Nie omieszkał nasz zawadjaka zjawić się na swem zwykłem stanowisku, aby murzyna muzyką uraczyć, ten zaś, nie zapomniał o otworze i wykopał dół dostateczny, aby zmieścić się

w nim mogły narzędzia, które miał dostać od swego nauczyciela; przysypał go następnie ziemią tak zręcznie, że nader wprawnego i podejrzliwego byłoby trzeba oka, aby wykryć podstęp. Następnej nocy Loaysa dał mu narzędzia. Ludwik niezwłocznie zabrał się do dzieła i bez trudu gwoździe wyciągnąwszy, rychło zamek do rąk dostał. Otworzył drzwi i wpuścił do domu swego Orfeusza i mistrza, a kiedy zobaczył go chodzącego o kuli i w łachmanach, podziw go ogarnął.

Loaysa nie miał już na oku plastra, gdyż niepotrzebnym się okazał. Ledwo próg przekroczył, uścisnął swego poczciwego ucznia i w twarz go pocałował, poczem wręczył mu wielką butlę wina, słoik konfitur i wiele innych przysmaków, w które dobrze zaopatrzył był swą torbę. Następnie, rzuciwszy w kąt kule, jakgdyby nic mu nie dolegało, począł kozły wywijać. Wprawiło to murzyna w większe jeszcze zdumienie, co widząc rzekł doń Loaysa:

— Wiedz, bracie Ludwiku, że moja ułomność nie z choroby bierze początek, a z przebiegłości, gdyż w ten sposób zarabiam sobie na życie, prosząc przechodniów w imieniu Boga o politowanie; przychodzi mi tu jeszcze z pomocą muzyka, tak, że wiodę najprzyjemniejszy żywot, jaki można sobie wyobrazić na tym świecie, gdzie ludzie, którym obce są wybiegi i podstępy, umierają z głodu, a jak słuszne jest to moje zdanie, dalsze dzieje naszej przyjaźni cię przekonają.

— Zobaczymy, — odparł murzyn; — teraz jednak postarajmy się przywrócić na właściwe miejsce ten zamek, tak aby nie można było poznać, że był odejmowany.

— Doskonale, — rzekł Loaysa.

I wyjąwszy z torby na zapas przyniesione gwoździe, zamek tak do drzwi przytwierdzili, że zdawać się mogło, iż nigdy swego miejsca nie opuszczał. Murzyn okazał się z takiego wyniku roboty wielce zadowolony, a Loaysa, wszedłszy pod pułap, gdzie uczeń jego miał swe legowisko, rozgościł się tam jak mógł najlepiej. Ludwik zapalił następnie świecę woskową, a Loaysa nie czekając dłużej, wyjął swą gitarę i począł grać na niej cicho a rzewnie, czem biedny murzyn tak całkowicie został pochłonięty, że wsłuchany w dźwięki tej muzyki przytomność niemal postradał.

Pograwszy krótką chwilę, Loaysa znowu sięgnął do swej torby i przyniesionymi zapasami jął raczyć swego ucznia, który choć słodyczami zakąsywając, tak chciwie pił wino z butelki, że ten poczęstunek do reszty pozbawił go przytomności.

Po takiej libacji, Loaysa postanowił rozpocząć lekcję, ale murzyn, któremu od wina czupryna się kurzyła, ani jednego tonu nie umiał dobyć z gitary. Nie bacząc na to, Loaysa wmówił w niego, że już dwie melodje przynajmniej umie doskonale, murzyn zaś, co najdziwniejsza, dał mu wiarę i przez noc całą bezustanku grał na gitarze rozstrojonej i pozbawionej niezbędnych strun.

Przespali kilka godzin, które do świtu jeszcze pozostawały, a koło szóstej rano zeszedł na dół z wyższego piętra Carrizales, otworzył drzwi wewnętrzne i te, które na ulicę wychodziły i jął wyczekiwać podstolego. Ten zjawił się po krótkim czasie, pozostawił w galerji przyniesione zapasy żywności i odszedł, zawoławszy uprzednio na murzyna, aby zabrał owies dla muła i swoją porcję dzienną. Gdy Ludwik to uczynił, stary Carrizales wyszedł z domu i zamknął za sobą jedne i drugie drzwi, nie zauważywszy psoty, z czego mistrz i jego uczeń niemało okazali zadowolenia.

Ledwo pan domu wyszedł, murzyn porwał gitarę i jął grać na niej w ten sposób, że usłyszały go wszystkie pokojówki i zbiegłszy się do galerji, poprzez zamknięte drzwi pytać go poczęły:

— Cóż to znowu, Ludwiku? Od kiedy masz gitarę i kto ci ją dał?

— Kto mi dał gitarę? — odparł murzyn. — Najlepszy muzykant na świecie, ten sam, który w przeciągu niespełna sześciu dni ma mię nauczyć sześciu z górą tysięcy melodji.

— A gdzież jest ów muzykant? — zapytała ochmistrzyni.

— Niedaleko stąd — odrzekł murzyn; — i gdyby nie wstyd i bojaźń przed moim panem, pokazałbym wam go może bez zwłoki, a ręczę, że nie pożałowałybyście tego spotkania.

— Gdzież to może ukrywać się ten człowiek, że go zobaczyć nie możemy? — rzekła ochmistrzyni, — skoro prócz naszego pana żaden mężczyzna nie wszedł nigdy do tego domu?

— Dość tego na teraz — odparł murzyn, — nic wam więcej nie powiem, dopóki same nie przekonacie się, w jak krótkim czasie nauczy mię swej sztuki.

— Pewno, — rzekła znowu ochmistrzyni; — jeśli nauczycielem twym nie jest sam djabeł, nie wiem kto mógłby z ciebie w ciągu sześciu dni uczynić muzykanta.

— Cóż tu wiele mówić, — odrzekł murzyn — same się wkrótce przekonacie i zobaczycie na własne oczy, że prawdę powiedziałem.

— To być nie może, — odezwała się inna pokojówka, — gdyż nie mamy okien wychodzących na ulicę, abyśmy mogły kogokolwiek widzieć lub słyszeć.

— Prawda to, — rzekł murzyn, — ale na wszystko jest sposób i jednej tylko śmierci człowiek się nie ustrzeże. Musicie mi tylko obiecać, że będziecie umiały milczeć.

— Milczeć, Ludwiczku miły? — zawołała jedna z pokojówek; — tak będziemy milczały, jakgdybyśmy były nieme i lepiej jeszcze: wierzaj mi, przyjacielu drogi, że głowę dałabym za to, aby piękny głos usłyszeć, gdyż od czasu kiedy nas tutaj między czterema ścianami zamknięto, nawet śpiew ptaków nas nie dolata.

Loaysa z niezmiernem zadowoleniem słuchał tej rozmowy, zdawało mu się bowiem, że wróżyła mu ona dobry wynik jego usiłowań i, że los

łaskawy przyłożył ręki, aby poprowadzić myśli wszystkich obecnych śladem jego pragnień.

Pokojówki pożegnały się z murzynem, odebrawszy od niego uprzednio obietnicę, że zawoła je aby pięknego śpiewu posłuchały, kiedy najmniej będą się tego spodziewać. Następnie, w obawie, aby jego pan znienacka nie wrócił i nie zastał go na rozmowie z niemi, murzyn dał im odejść, zaś sam wrócił do swego zamknięcia i kryjówki.

Radby wziął lekcję muzyki, ale we dnie nie ośmielił się grać na gitarze, gdyż obawiał się, aby pan domu go nie usłyszał. Carrizales wkrótce potem powrócił i, zwyczajem swoim, drzwi szczelnie zamknąwszy, w domu pozostał.

Gdy dnia tego przyjmował swą zwykłą porcję żywności, oznajmił Ludwik murzynce, która mu z galerji jedzenie podawała, że wieczorem, kiedy Carrizales uśnie, wszystkie pokojówki mogą zejść z komnat swoich do galerji, a usłyszą ów śpiew, o którym im powiadał. Zanim wszakże murzynce to powiedział, prosił mistrza swego wszelkiemi prośbami, aby zechciał zagrać na gitarze i zaśpiewać kilka pieśni owego wieczora u wejścia do galerji; przekładał mu, że w ten sposób będzie mógł wywiązać się z obietnicy, którą dał pokojówkom, jakoby usłyszeć miały niezwykły głos i zapewniał, że sobie na wielkie od nich wszystkich zasłuży pochwały.

Mistrz dał się nieco prosić, ale w końcu zgodził się uczynić zadość błaganiom swego dobrego ucznia, dając mu do zrozumienia, że tylko gwoli jego zadowoleniu, nie dla żadnej innej korzyści, śpiewać będzie. Murzyn uściskał go i ucałował w oba policzki, dając tem poznać, jak wielką mistrz obietnicą swą sprawił mu radość; tego dnia przygotował Loaysie na znak wdzięczności taką ucztę, jaką ten w domu tylko mógłby znaleźć, a może i lepszą jeszcze, gdyż mogło się zdarzyć, że w domu zabrakłoby mu pożywienia.

Nadszedł wieczór i o północy lub nieco wcześniej szepty jakieś poczęły rozlegać się w galerji, a Ludwik zrozumiał natychmiast, że zebrało się zaproszone przezeń zgromadzenie. Zawołał tedy swego mistrza i razem zeszli do przedsionka z gitarą, tym razem we wszystkie struny zaopatrzoną i lepiej nastrojoną.

Zapytał Ludwik jakie słuchaczki znajdowały się w galerji i ile ich było. Odpowiedziano mu, że wszystkie mieszkanki domu były obecne, oprócz ich pani, która spała u boku swego męża, czem Loaysa zmartwił się niemało. Mimo to jednak, postanowił spełnić obietnicę i zadowolnić swego ucznia: ująwszy więc w ręce gitarę, palcami zlekka trącił o struny i takie z nich począł wydobywać dźwięki, że zdumiał murzyn, a ciżba niewiast, która go słuchała, w natężeniu skupiła uwagę.

Cóż tedy powiedzieć o uczuciach, które zawładnęły niemi, kiedy Loaysa począł śpiewać pieśń *Tak wielce boleję* *) i zakończył swój popis djabelskimi dźwiękami sarabandy, świeżo wówczas do Hiszpanji przywiezionej? Nie ostało starej, któraby do tańca się nie rwała, młode zaś tak się rozbawiły, że szaty na nich były w strzępach niemal; wszystko to czyniły z zadziwiającą ciszą, a kilka z nich ustawiło się na straży, aby dawać baczenie czy się stary nie obudził.

Loaysa zaśpiewał również znane zwrotki z Seguida, czem przyłożył niejako pieczęć do wrażenia, jakie wywarł był na swych słuchaczkach, a one uporczywie prosić jęły murzyna, aby im powiedział kim był ów cudowny muzykant. Ludwik odparł, że był to biedny żebrak, najwytworniejszy człowiek, jaki mógł się znaleźć wśród wszystkich ubogich, którzy Sewillę zamieszkiwali.

Poprosiły murzyna, aby dał im możność zobaczenia owego żebraka i aby go w ciągu dwuch tygodni conajmniej nie wypuszczał z domu; obiecywały, że dobrze go będą ugaszczać i postarają się aby mu nie zbrakło niczego. Zapytały również w jaki sposób murzyn wpuścił go był do domu.

Na to ostatnie pytanie Ludwik nic nie odpowiedział; na inne odrzekł, że aby go zobaczyć, mogą uczynić otwór niewielki w ścianie galerji, który później zalepią woskiem, o to zaś, aby go w domu zatrzymać on sam się postara.

Przemówił do nich również Loaysa i zaofiarował im swe usługi w tak dobranych słowach, że bez trudu poznały, iż nie mogły podobne wyrazy wyjść z ust nędznego żebraka.

(d. c. n.)

*) Pésame de ello



POPULARYZACJA WIEDZY

Z postępów wiedzy i pracy.

CO MOŻNA ZROBIĆ Z POKRZYWY.

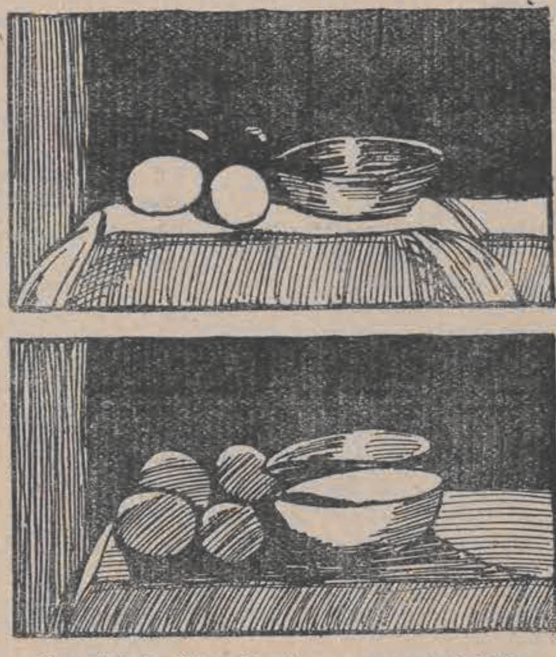
Zwyczajna pokrzywa — to znany, nieprzyjemny chwast, z którego pożytek jest bardzo niewielki. A jednak od dawna już na chwast ten zwrócili baczną uwagę technicy, a nawet rządy państw, chcąc koniecznie uczynić z pokrzywy roślinę pożyteczną, gdyż jej łodygi nadawałyby się do wyrobu włókien, mogących znaleźć zastosowanie w przędzalnictwie i tkactwie. Włókna pokrzywy są mianowicie niezwykle mocne, wytrzymalsze nawet, niż włókna innych roślin i nadawałyby się bardzo dobrze do skręcania nitek i wyrobu tkanin, mogąc pod tym względem doskonale zastąpić bawełnę, gdyby te włókna dały się łatwo z łodygi wydzielać. Dawniej nawet, zanim bawełna znalazła tak szerokie w Europie rozpowszechnienie, wyrabiano już we Francji i w Niemczech, a po części nawet i u nas tkaniny z pokrzywy, t. zw. płócienka i muślinki. Dziś jednak nie mogą one konkurować z wyrobami nietylko płóciennymi, lnianymi, ale nawet zwyczajnymi, bawełnianymi, są bowiem od nich grubsze, bardziej szorstkie, a bynajmniej nie tańsze. Pochodzi to zaś stąd, że wydobycie włókien z pokrzywy, oddzielenie ich od innych części łodygi i od siebie, uwolnienie ich od przylegającej do nich śluzowatej, kleistej substancji, jest trudne i kosztowne, a na sposób nadania im dostatecznej giętkości, miękkości, gładkości i połysku jeszcze nie natrafiono. Nie umiemy ich także bielić tak dobrze, jak bielimy np. len, czy inne tkaniny. Postępując z włóknami pokrzywy tak np., jak z włóknami lnu, otrzymujemy w końcu tkaninę brudno-brunatną, sztywną, drzewiastą, dającą się bielić źle, kosztem jej wytrzymałości.

Rzecz jasna, iż otrzymanie z pokrzyw tkanin zdatnych do użytku, jest sprawą wynalezienia tylko odpowiednich sposobów obrabiania i zmiękczania ich łodyg i że wynalazek taki miałby ogromnie ważne znaczenie nietylko dla techniki i dla podniesienia przemysłu krajowego, lecz i dla stosunków ekonomicznych i wzmożenia dobrobytu kraju naszego, jak i zresztą krajów innych. Wynalezienie bowiem sposobu wyrabiania płócien i t. p. tkanin, z rośliny tak pospolitej, której uprawa nie wymagałaby żadnych zachodów, tak taniej, rosnącej w kraju, wyzwoliłoby najważniejszy dział przemysłu tkackiego z zależności od bawełny amerykańskiej, czy ajatyckiej, uwolniłoby go od rujnującej go t. zw spekulacji bawełnianej i wytworzyłoby nową ważną gałęź wytwórczości krajowej. Nic dziwnego, że zagranicą, a zwłaszcza w Niemczech, zwrócono w ostatnich czasach baczną na tę sprawę uwagę, że organizują się tam całe komisje, złożone z botaników, chemików, techników, ekonomistów i przemysłowców, pilnie i wszechstronnie sprawę tę studjujących i dążących, każdy w swoim zakresie, do osiągnięcia pożądanego celu. Wysiłki te wprawdzie przez lat 50 nie doprowadzały do żadnego ważniejszego wyniku, w ostatnich jednak czasach próby dokonane przez wiedeńską firmę Kreissla i Seiberta dały rezultaty już tak pomyślne, iż niemal wątpliwości podlegać nie może, że wkrótce pomyślny skutek tych długoletnich dążeń osiągnięty zostanie.

Przedewszystkiem przypomnieć należy, iż u nas rosną dwa gatunki pokrzywy, z których t. zw. *pokrzywa pospolita* (Urtica dioica) jest znacznie większą, o liściach podłużnych ciemnych, gdy druga, t. zw. *pokrzywa żegawka* (Urtica urens) jest roślinką małą o liściach bardziej okrągławych, znacznie jaśniejszych i głębiej ząbkowanych; żegawka parzy silniej niż pokrzywa pospolita. Oba gatunki nadają się dobrze jako rośliny włókniste, do celów, o które nam tu chodzi. Ważnem jest, iż pokrzywa rośnie doskonale na każdym gruncie, zarówno w rowach, przy drogach, w zaroślach, jak na śmietniskach, na glebie czarnej, jak gliniastej i piaszczystej, po łąkach, jak i lasach, na słońcu, jak i w cieniu, słowem we wszystkich, nawet nieprzychylnych dla innej roślinności warunkach. Rośnie ona wszędzie dziko i obficie, nie znosząc obok siebie innych chwastów, które w jej sąsiedztwie giną, ani też innych roślin; pokrzywy bowiem wyrastają już wczesną wiosną, rosną i plenią się szybko. Gdy pokrzywy rosną gęsto obok siebie, nie wydają one licznych gałązek, lecz natomiast ich łodygi, które nie są, jak u innych roślin okrągłe, lecz kanciaste, stają się znacznie grubsze i wyższe, wskutek czego mogą dać większą liczbę włókien i to dłuższych; normalnie wysokość pokrzywy dochodzi do 125 centym. Z tego wynika, iż gdyby ta roślina, tak obficie rosnąca już w stanie dzikim, była sztucznie przez człowieka zasiewana i uprawiana, to pod jego opieką dawałaby plon niezwykle obfity; wysokość łodyg również drogą kultury sztucznej powiększyćby znacznie można. (dok. nast.)

Fotografowanie za pomocą promieni niewidzialnych.

Wiadomo, iż jeżeli do zupełnie ciemnej izby przez mały otworek w okiennicy, przed którym wewnątrz tej ciemni ustawimy trójkątny pryzmat szklany, wpuścimy jasny promień światła, to na przeciwległą ścianę izby padnie pasek, złożony z 7-iu barw tęczy, czyli t. z. barwne widmo światła. Jasny bowiem promień światła słonecznego składa się z 7-iu różnobarwnych promieni, z których każdy, przechodząc przez pryzmat szklany, inaczej się odchyla. W skład jednak jasnego promienia wchodzą jeszcze inne promienie, nie sprawiające już na nasz wzrok wrażenia światła ani barwy; są to promienie ciemne, niewidzialne. Jedne z nich po przejściu przez pryzmat, padają po jednej stronie widma, poza jego barwą czerwoną i mogą być wykryte tylko za pomocą termometru, są to bowiem promienie cieplne, inne padają po drugiej stronie widma, poza jego barwą fjoletową, działając tylko chemicznie, tak że pod ich wpływem czernieje np. klisza fotograficzna. Pierwsze nazywamy promieniami ultraczerwonymi czyli poza czerwonymi, drugie—ultrafjoletowymi. Gdy fotografujemy przedmioty za pomocą zwykłego aparatu fotograficznego, to promienie światła, idące od tych przedmiotów, przechodzą przez soczewki aparatu i wpadają do jego wnętrza, działając na kliszę; promienie ultrafjoletowe jednak zostają w znacznej części przez soczewki szklane pochłonięte. Jeżeli zamiast szklanych, użyjemy soczewek kwarcowych, to przez nie do aparatu przejdą promienie zarówno świetlne, jak pozafjoletowe, a jeżeli nadto na ich drodze ustawimy jeszcze płytkę kwarcową posrebrzoną, która promienie świetlne zupełnie zatrzyma, to do aparatu wnikną i na kliszę podziałają jedynie tylko promienie pozafjoletowe, idące od fotografowanego przedmiotu wraz z innymi. Zachodzi przeto ciekawe pytanie, jak wyglądać będzie fotografja tak otrzymana przy pomocy tych promieni ultrafjoletowych, zupełnie dla naszego oka niedostrzegalnych. Już dawniej prof. Wood w Anglji zadał sobie to pytanie, dokonywując odnośnych prób i zwrócił uwagę na ważne znaczenie naukowe takich fotografji, zwłaszcza, dla badania ostygłych, ciemnych a odległych, ciał niebieskich. Niedawno w ten sposób odfotografowano księżyc, otrzymując ważne wskazówki, dotyczące jego budowy. W ostatnich czasach sprawą tą zajął się niemiecki badacz O. Mente. Z licznych fotografji przez niego otrzymanych przedstawiamy czytelnikom dwie, z których jedna przedstawia zdjęcie przy pomocy zwykłego światła, druga te same przedmioty, odfotografowane przy działaniu tylko promieni niewidzialnych. Przedmiotami temi były: zwierciadło, przed którem na stole stała miseczka i dwa jajka kurze. Jak widzimy, zwierciadło, nie przepuszczające (z powodu posrebrzenia z jednej strony) promieni ultrafjoletowych nie dało na kliszy odbicia; również nie wyszło odbicie w tem zwierciadle jaj, biała porcelanowa miseczka i jajka wyszły przy zwykłem świetle na fotografji jednakowo białe, lecz na fotografji otrzymanej za pomocą promieni pozafjoletowych, biała miseczka dała obraz czarny, białe jaja zaś—obraz znacznie bielszy, co wskazuje, iż za pomocą takiej fotografji będzie można odróżniać materjały przedmiotów. Tą drogą udało już się odróżnić zupełnie pewnie, stare obrazy oryginalne od fałszywych ich nowoczesnych kopji, gdyż farby, użyte do obrazu i jego kopji, składały się z różnych materjałów i z tego powodu posiadały rozmaitą zdolność odbijania promieni. Tą drogą wykryć można również fałszerstwa pisma, a co ważniejsze, metoda ta daje możność odcyfrowywania starych, pożółkłych rękopisów, na których pismo zupełnie już zblakło, a nawet znikło, a także starych rękopisów, kilkakrotnie na tej samej stronie zapisanych.



Do artykułu: Fotografowanie za pomocą promieni niewidzialnych.

Połów pereł na Ceylonie.

Połów pereł na Ceylonie należy do zajęć bardzo zawodnych; znane ławice przez całe szeregi lat nie dają pereł, tak, że przez kilka i więcej lat nie bywają zupełnie eksploatowane. W ubiegłem stuleciu eksploatowano ławice perłowe tylko w ciągu 50 lat. Dla zbadania przyczyn „nieurodzaju“ pereł przedsięwzięli poszukiwania prof. Herdman i Hornell. Panowie ci zbadali bardzo szczegółowo dno morskie w odpowiednich

miejscach za pomocą sieci i nurków; sami nawet osobiście w stroju nurków prowadzili poszukiwania pod wodą. Badania ich stwierdziły, że przyczyny klęsk wśród perłopławów są dwojakiej natury: wrogowie z jednej strony, jak: świdraki, rozgwiazdy, niektóre ryby oraz pasożyty, a z drugiej piasek, nanoszony przez prądy morskie i zagrzebujący w sobie całe ławice tych mięczaków. Jedna z olbrzymich ławic, zbadana na wiosnę liczyła w przybliżeniu do 100,000 miljonów młodych perłopławów; ale powtórnie ją odwiedzając w jesieni, uczeni przekonali się, że wszystkie mięczaki zostały zupełnie zagrzebane w piasku, tak że nie pozostało po nich ani śladu. Jedynym środkiem na to będzie urządzanie hodowli perłopławów w miejscach osłoniętych rafami, wielkimi kamieniami i t. p. i zabezpieczonych w ten sposób, zarówno od zwierząt drapieżnych jak i od zgubnej działalności fal morskich przynoszących piasek. Od pasożytów zabezpieczać nie trzeba, bo właśnie najpiękniejsze perły, powstają z wydzielin, układających się koncentrycznie wokoło ciała pasożytnego wewnętrznego, który stanowi jądro perły. Ale zabezpieczać należy mięczaka od drapieżców wodnych. Pewien robak pasożytny dla dalszego rozwoju musi się przenieść z ciała mięczaka do rekina, to zaś może nastąpić dopiero wtedy, jeżeli perłopława połknie *rogatnica* (Balistes), a tę znów zje rekin. Wtedy robak rozwinie się pomyślnie, ale perła przepadnie; jeżeli zaś mięczak utrzyma się przy życiu, t. j. jeżeli nie dostanie się do żołądka rekina, to robak zginie, ale naokoło ciała wytwarza się perła.

Nowy przyrząd do lutowania

w płomieniu gazu, bardzo prostej konstrukcji, przedstawiony na obocznym rysunku, wchodzi coraz bardziej w użycie. Jest to właściwie znany w zasadzie palnik Bunsena, z którego płomień wychodzi w kierunku poziomym, a do którego powietrze wpuszczamy za pomocą baloni-



Nowy przyrząd do lutowania.

nika gumowego, jaki używamy przy odświeżaczach do wody kolońskiej i t. p. Płomień regulujemy za pomocą rączki, znajdującej się u dołu w podstawie przyrządu (na rysunku po lewej stronie). Kolby blacharskie dla ogrzania kłaść można na górnej poziomej rurze przyrządu na odpowiednich podstawkach.

Barwy zwierząt.

Pewien uczony francuski ogłosił niedawno wyniki swoich poszukiwań nad barwami w świecie zwierzęcym i roślinnym w rozprawie, która prócz rezultatów, otrzymanych przez autora, zawiera bardzo starannie zebrany materjał faktyczny, zdobyty w tym przedmiocie przez badaczów poprzednich.

Według autora, w świecie zwierzęcym należy odróżniać dwie kategorje barw: do pierwszej należą barwy, wywołane przez zmiany falowań świetlnych wskutek swoistej budowy odpowiednich części ciała, „barwy strukturalne", do drugiej zaś „barwy barwnikowe", ujawniające się wskutek pochłaniania pewnych kategorji promieni widma świetlnego przez barwniki, czyli barwy właściwe.

Barwy *„strukturalne"* mogą powstawać wskutek zwykłego odbijania się promieni, od powierzchni gładkiej (barwy metaliczne), prążkowanej (wygląd jedwabiu — upierzenie okolicy gardłowej kanarka), lub od pęcherzyków powietrza, zawartych w tkance (pióra ptasie). Barwy bardziej złożone, należące do tej kategorji, powstają wskutek zjawisk interferencji w płytkach niezmiernie cienkich (pióra w okolicy gardłowej gołąbki i kolibrów, skrzydła motyli, muszle mięczaków — perły). Zabarwienie niebieskie powstaje zwykle wskutek załamania światła w niezmiernie małych cząsteczkach różnych ciał znajdujących się w zabarwionych częściach organizmu. Barwy właściwe są bardziej rozpowszechnione; barwniki są to ciała, względnie dokładnie określone pod względem chemicznym. Co się tyczy *lipochromów*, to wiadomo, że są to węglowodany, pokrewne tłuszczom; do tej grupy należy np. barwnik żółty wątroby, raka i homara, przechodzący w czerwony barwnik pancerza i jaj, lub też przez połączenie ze znajdującą się w mięśniach zasadą organiczną— w barwnik niebieski. Ważniejsze barwniki stanowią połączenia azotowe: hemoglobina, bilirubina, urobilina i t.d.

Zdolność zmieniania barwy spotykamy u żaby, u trytona, u niektórych ryb, kameleona. Autor zbadał pod tym względem pewnego przedstawiciela gromady gadów, Galeote versicolor. Zmiany zabarwienia zachodzą u tego zwierzęcia pod wpływem mechanizmu nerwowego: zwierzę pozbawione oczu zupełnie nie reaguje zmianami zabarwienia na podrażnienia zewnętrzne. Prócz tego występują one w wielkiem natężeniu pod wpływem wzruszeń. Mechanizm histologiczny tego zjawiska opiera się na tem, że w skórze istnieją trzy warstwy komórek barwnikowych, t. zw. chromoblastów, z których zewnętrzne posiadają barwę żółtą, środkowe czarną, dolne zaś czerwoną; wskutek kurczenia się chromoblastów różnych warstw, następuje zmiana barwy, zależna od barwy chromoblastów, które nie uległy skurczeniu.

Wpływ warunków zewnętrznych na zabarwienie zwierząt został dokładnie stwierdzony: pokarm, wilgoć i temperatura— są to czynniki niezaprzeczenie

mające wielki wpływ na zabarwienie.

Autor na podstawie licznych doświadczeń twierdzi, że wpływ światła polega na działaniu promieni chemicznych (niebieskich i pozafioletowych), a nie cieplnych, promienie zaś Roentgena pozostają bez wpływu na zabarwienie.

Autor przypuszcza, że barwniki są to produkty wydzielnicze organizmu i że warunki zewnętrzne działają wyłącznie jako czynniki pobudzające czynność wydzielniczą, wywierając wpływ bezpośrednio na elementy komórkowe lub pośrednio przez układ krwionośny; dobór zaś naturalny występuje wtórnie i utrwala odmiany w zabarwieniu, pożyteczne dla danego gatunku.

Wpływ wzruszeń na trawienie.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że gniew, przestrach i inne wzruszenia podobne „psują człowiekowi apetyt“. Dr. Richel z Berlina wespół z dr. Sasaki, postanowili na drodze doświadczalnej fakt ten skonstatować i o wynikach swych doświadczeń zdawali sprawę na posiedzeniu „Stowarzyszenia medycyny wewnętrznej“.

Doświadczenia autorów, mające na celu zbadanie wpływu wzruszeń na wydzielanie się soku żołądkowego, a więc na trawienie, dokonane zostały za pomocą znanej metody Pawłowa, polegającej na zrobieniu sztucznej przetoki żołądkowej; prócz tego dokonywali oni na psie t. zw. „Oesophagotomii“ t. j. przecięcia przewodu pokarmowego nazewnątrz; komunikacja między ustami a żołądkiem zupełnie zostaje przerwana. Jeżeli jednak psu z przetoką, będącemu naczczo, pokazywać będziemy zdaleka kawałek mięsa i wywołamy u niego w ten sposób apetyt, zobaczymy wtedy, że z przetoki żołądkowej popłynie sok żołądkowy i to tem obficiej, im usilniej pies pożądać będzie pokarmu. U psa poddanego *oesophagotomii*, pożywienie pobrane nie dochodzi też do żołądka, jednak również wywołuje wydzielanie się soku żołądkowego, dające się skonstatować u ujścia przetoki. Te same zjawiska zauważyli Roeder i Sommerfeld u dziecka z sztuczną przetoką żołądkową, poddanego *oesophagotomii*. U dziecka tego, pozatem R. i S. skonstatowali, że w przypadku takiego „karmienia rzekomego“, sok żołądkowy wypływał w większej ilości, jeżeli dziecku dana potrawa szczególnie smakowała i „jadło ją z apetytem“ (co służyć może za dowód, jak ważną rolę odgrywa gastronomja w hygienie). Na podstawie dowcipnego doświadczenia, Pawłow skonstatował, że czynniki psychiczne odgrywają większą rolę w procesie wydzielania się soku żołądkowego, niż bezpośrednie zetknięcie się pożywienia ze ścianą żołądka bez wiedzy zwierzęcia. Aby przekonać się o ile i jak wzruszenia wpływają na wydzielanie się soku żołądkowego, autorowie wzięli do doświadczeń swych psa „wrażliwego“ t. j. podlegającego łatwo wzruszeniom. U psa tego wywoływano uczucie gniewu w ten sposób, że przed rozpoczęciem doświadczenia Pawłowa pokazywano mu przez pięć minut zdaleka kota w klatce. Okazało się, że gdy normalnie w przeciągu 20 m. od początku karmienia „rzekomego“ u psa tego wydzielało się około 67 $cm.^3$ soku żołądkowego, w paroksyzmie gniewu wypływały jedynie pojedyńcze krople soku—ogółem w przeciągu 20 m. nie więcej niż 7 $cm.^3$

Pozatem szło autorom o przekonanie się, czy rozpoczęte wydzielanie się soku może być przerwane przez wzruszenie psychiczne. W tym celu karmili „rzekomo“ psa w przeciągu 5 minut mięsem i czekali aż po 20 minutach wydzielanie się soku dosięgło pewnej wysokości; w danej chwili drażnili psa, pokazując mu, jak w poprzednim doświadczeniu, kota zdaleka, okazało się, że przez następny kwadrans wypłynęło jedynie kilka kropel soku żołądkowego.

Wzruszenie posiada więc bezwarunkowo działanie hamujące na wydzielanie się soku żołądkowego, polegające na wzajemnem oddziaływaniu dwu procesów psychicznych. Z doświadczeń p. R. i S. wyciągnąć się dają daleko idące wnioski, co do wpływu życia duchowego na funkcje cielesne, z nich też lekarz czerpać może wskazówki co do znaczenia czynnika duchowego w lecznictwie, niestety, dotychczas tak zaniedbanego.



P. Nikodemowi Z. Nie Sz. Panie, autorem opery „Don Juan“ nie jest Różycki, lecz Mozart.

P. M. O. P. Leon Choromański ostatnio wydał zbiór nowel p. t.: „Złota Droga“.

„Konradowi“. Wiersz p. t. „Przerażliwe sny” — jest zgoła przeraźliwy. Do kosza.

P. X. I. Z. „Czczę w tobie anioła“ obfituje w mnóstwo usterek, stwierdzających, że znajomość języka polskiego posiada Sz. Pan w stopniu bardzo słabym. Wiersz pański przypomina monotonną melodję podwórzowej katarynki. Do prawdziwej *twórczości* stąd jeszcze bardzo daleko.

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.—	„ „ 3.50	„ „ 1.75
Za granicą i za oceanem	„ „10.—	„ „ 5.—	„ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ. **Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki,** przed tekstem 40 kop. **Nadesłane,** w tekście—75 k. **Reklamy** —40 k. **Ogłoszenia** na 3 str. okładki 20 k. **Na 4 str. okładki**—30 k. Ogłoszenia obliczaja się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa.” Redaktor **Feliks Kwaśniewski**. Kierow. liter. **Wacław Grubiński**

Redakcja i Administracja: **Warszawa, Królewska 27. Telefony 226-83 i 152-05.**

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.